NR 22 (1946) 2 CZERWCA 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

45 LAT

Proj. Krzysztof Karnkowski

GREENEXIT?
To da się zrobić!

- ARMIA DOBOROWA I... POBOROWA!
- WOJNA W OCZACH DZIECI

ISSN 0208-8045
9 770208 040450 22
INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

KK

REPUBLIKA

Zapraszamy na autorski program publicystyczny **Tomasza Sakiewicza** dla widzów, którzy chcą wiedzieć więcej. Polityka bez filtrów. Najważniejsze tematy. Mocne opinie. Analizy, które mają znaczenie. Rozmowy, które wyznaczają kierunek debaty.

www.radiotvrepublika.pl Telewizja Republika @RepublikaTV RepublikaTV @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 028b2d3545

Rafał Woś
REDAKTOR NACZELNY

Po pierwsze, Polska musi dokonać greenexitu. To znaczy musi ogłosić, że wychodzi ze wszystkich polityk klimatycznych Unii Europejskiej. Poczynając od systemu ETS1, przez wszelkie wymogi, które narzuca na nas Zielony Ład i schemat wygaszania kolejnych polskich kopalni. Po ETS2, który wisi nad nami jak ostrze gilotyny. I naprawdę nie ma większego znaczenia, czy opadnie w pierwszej, czy drugiej połowie 2027 roku. Ważne, że wisi i straszy.

Po drugie, najlepiej gdyby ten greenexit dokonał się w sposób pokojowy i cywilizowany. Rozumiem przez to sytuację, w której główni promotorzy zielonych polityk UE – Komisja Europejska i rządy Niemiec i innych krążących wokół nich krajów Europy – po prostu przyjmują to do wiadomości. Nie muszą nas z tego powodu głaskać ani chwalić. Grunt, żeby nie robili nam na złość, nie straszyli konsekwencjami, nie mrozili przysługujących nam pieniędzy z budżetu UE, nie straszyli pozwami i skargami.

To ostatnie może się oczywiście nie wydarzyć. Patrząc na stan świadomości liberalnego establishmentu UE widać, że nie są oni zdolni do jakichkolwiek ustępstw na polu polityk klimatycznych. Próbują zamilczeć nawet krytykę niszczącego zielonego szaleństwa płynącą ze strony własnych kręgów przemysłowych czy ze strony wyborców. A co dopiero ze strony kraju takiego jak Polska, na który ciągle patrzą trochę z wyższością starszego brata w unijnym wtajemniczeniu.

Dlatego (po trzecie), polski greenexit musi w razie czego nastąpić „na twardo". Bez gwarancji, że nie będzie z tego powodu względem Polski retorsji. I w pełnej gotowości do bicia się i chandryczenia przez polskie władze w Brukseli o prawo do opuszczenia „zielonego raju". Bez opuszczania Unii Europejskiej, na co większość Polaków nie ma w tym momencie ochoty.

Po czwarte, greenexit musi być początkiem nowego podejścia do polskiej polityki energetycznej. Opuszczenie przez nas klatki unijnego klimatyzmu winno dać nam unikalną szansę zaprojektowania tego kluczowego obszaru naszej narodowej strategii na nowo. Czyli zrobienia czegoś, co po 1989 roku zostało przez nas przespane i prześnione. Bo w III RP było tylko zwijanie. Najpierw zwinięcie trwających od czasów Edwarda Gierka prac nad energetyką atomową przez ministra Tadeusza Syryjczyka – tego od hasła: „Najlepsza polityka przemysłowa to brak polityki przemysłowej". Potem wygaszenie ogromnej części górnictwa węglowego, co zaowocowało wzrostem kosztów wydobycia, stagnacją technologiczną i wygodną dla klimatystów mantrą, że przecież „polski węgiel jest nierentowny".

I wreszcie po piąte. W ramach tej nowej polskiej polityki energetycznej musimy zacząć inwestować w technologie węglowe. Trzeba nie tylko przestać górnictwo zwijać i trzymać je na łaskawej kroplówce, na której sobie cichutko (lub głośniej) będzie umierało. To za mało. Musimy zainwestować miliardy w rozwój technologii wydobycia i spalania surowca. Tak jak robi się na całym świecie poza Europą. Od USA przez Indie po Chiny.

Opuszczenie przez Polskę klatki unijnego klimatyzmu winno dać nam unikalną szansę zaprojektowania tego kluczowego obszaru naszej narodowej strategii na nowo.

Wtedy greenexit będzie miał sens. Wtedy zobaczymy, że po dekadzie takiej polityki staniemy na własnych nogach. Zwiększy się nasze bezpieczeństwo energetyczne, produkcja przemysłowa stanie się bardziej konkurencyjna, a zatrudnienie w dobrze płatnych dziedzinach gospodarki ulegnie rozbudowie.

Brzmi jak dobry plan? Jak plan, którym można się – jak to się kiedyś mówiło – zajarać, czyli zainspirować albo nakręcić. Mam nadzieję, że tak.

No więc do roboty. Jeśli nie dziś z tym rządem, to jutro z innym. Naprawdę jeszcze można to wszystko uratować.

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**

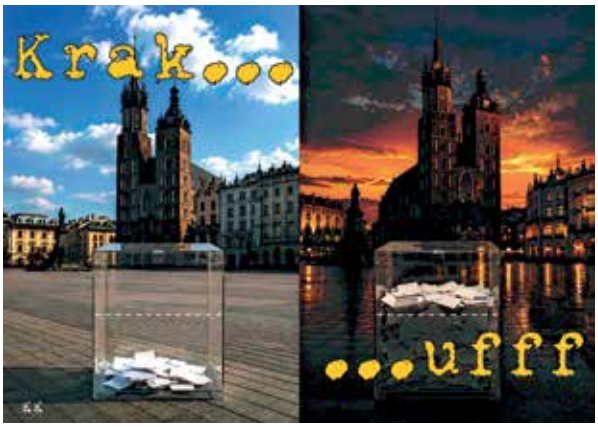

eprasa.pl 028b2d3545

02.06.2026
WYDANIE Nr
22

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Jak zrobić greenexit?

6	Rekarbonizacja Polski jest konieczna
10	Greenexit albo śmierć
14	Jak wygrać z Zielonym Ładem
18	Globalne o(t)rzeźwienie
26	Korpo zaczęło się od rzemiosła

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Jeżeli nie ONI, to kto? 22

KRAJ

Drugie życie Polimerów Police 26
Radzio banalista 30
Finał konkursu „Bezpieczny krok z BHP do górnictwa” 33
Armia doborowa i... poborowa! 34
Kraków po pierwszej bitwie 38

GOSPODARKA

Volkswagen Poznań. Najważniejsi są ludzie 42

ZAGRANICA

Wiraż, czyli nowa normalność 52
„Zimny prysznic” z Pentagonu 55

KULTURA

Nie muszę być kochana przez wszystkich. Rozmowa z Baddie 404 58

SPOŁECZEŃSTWO

Kim jest mój tata 62

HISTORIA

Wojna w oczach dzieci 66

ZWIĄZEK

Co w związku 70
Mam jeszcze dużo do zrobienia. Rozmowa z G. Babijem 72

FELIETONY:

OKRASKA 13
GAC 17
PŁUŻAŃSKI 37
KRYSZTOPA 61

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 21
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 45
PRAWO 49
ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO 50

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Michał Ossowski

Członek Zarządu: Wojciech Kwidziński

Redaktor naczelny: Rafał Woś
r.wos@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Barbara Andrijanić, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Jarosław Jakubowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Patryk Stanik, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. Wały Piastowskie 24, pok. 327, 80-855 Gdańsk
nr konta: mBank S.A.
44 1140 1065 0000 7461 0100 1001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl 028b2d3545

Gdańsk, 22 maja 2026 r.

NIEZALEŻNY SAMORZĄDNY ZWIĄZEK ZAWODOWY

SOLIDARNOŚĆ

Przewodniczący Komisji Krajowej
Piotr Duda

Szanowni Członkowie i Sympatycy Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”!

Z całego serca dziękuję Wam za obecność na środowej demonstracji w Warszawie. Składam podziękowania każdej osobie, która wzięła udział w tym wydarzeniu, pokazując, że sprawy pracowników, polskich rodzin i przyszłości naszego kraju nie są jej obojętne. Wasze zaangażowanie jest dowodem odpowiedzialności, odwagi i determinacji w walce o godne życie, bezpieczeństwo miejsc pracy oraz szacunek dla ludzi pracy.

Szczególne słowa podziękowania kieruję do wszystkich osób zaangażowanych w organizację demonstracji oraz do służb porządkowych, które jak zwykle zadbały o to, by każdy uczestnik wczorajszego wydarzenia był bezpieczny. Dziękuję również funkcjonariuszom policji za profesjonalizm, odpowiedzialność i współpracę podczas całego wydarzenia.

Demonstracja pokazała, że siła związku tkwi we wspólnocie, wzajemnym wsparciu i jedności. Udowodniliśmy, że gdy jesteśmy razem, stanowimy ogromną siłę, której nie można lekceważyć.

Polskie społeczeństwo obudziło się i rządzący dokładnie o tym wiedzą. Boją się naszej siły, determinacji i tego, że jesteśmy razem, a najlepszym dowodem na ich strach jest milczenie Donalda Tuska na temat środowego wydarzenia. I dobrze, niech wiedzą, że nie da się nas już powstrzymać. Ich strach napędza nas tylko do dalszego działania.

Dlatego, dziękując za dotychczasowe zaangażowanie, proszę jednocześnie o więcej. To dopiero początek drogi. Tylko wspólnie jesteśmy w stanie przeciwstawić się zagrożeniom i zawalczyć o nasze wspólne postulaty. Potrzebujemy jednak dalszego wzajemnego wsparcia, odpowiedzialności i gotowości do wspólnego działania.

Solidarność od zawsze była siłą ludzi zjednoczonych wokół wspólnych wartości i wspólnego celu. Dziś ta jedność ma szczególne znaczenie. Naszą siłą jest solidarność, wzajemne wsparcie i przekonanie, że razem możemy więcej.

Szczęść Boże!

Piotr Duda

eprasa.pl 028b2d3545

Temat Tygodnia

REKARBONIZACJA
Polski jest konieczna

W minionym tygodniu Polskie Towarzystwo Gospodarcze opublikowało raport „Konkurencyjność czy Transformacja? Nowa mapa energetyczna Polski", którego mam zaszczyt być współautorem. Wśród kluczowych rekomendacji raportu są: budowa sześciu nowoczesnych, nadkrytycznych bloków węglowych klasy Kozienice B11, otwieranie nowych kopalń węgla na Lubelszczyźnie i na Śląsku oraz eksploatacja złoża Złoczew. Realizacja tych propozycji ma przywrócić Polsce niskie ceny energii, poniżej 300 zł za megawatogodzinę. Jednak węgiel to nie tylko tania energia. **Węgiel to fundament nowoczesnej gospodarki**, opiera się na nim wiele produktów, których potrzebujemy na co dzień, w tym także tych, które są ważne dla naszego zdrowia i życia, takich jak witaminy, ibuprofen, paracetamol czy antybiotyki.

Szczepan Ruman

eprasa.pl 028b2d3545

Fot. Adobe Stock

Po dekadach wyniszczania europejskiego przemysłu kolejnymi regulacjami związanymi z ograniczaniem emisji CO_2 Unia Europejska „odkrywa" niepokojące uzależnienie od Chin w strategicznych branżach: stali i produktów stalowych, substancji czynnych leków i chemikaliół'w farmaceutycznych, tworzyw sztucznych, polimery i chemikaliów bazowych oraz innych produktów chemicznych i nawozów. W niektórych przypadkach importujemy z Chin ponad 95% konkretnego, ważnego produktu, jak na przykład witaminy z grupy B. Komisja Europejska nie dokonała chyba jeszcze kluczowego i zapewne wstrząsającego dla niej odkrycia: wszystko to produkowane jest w oparciu o węgiel: kamienny, brunatny i koksujący.

Redukcja emisji CO_2 w UE następowała przede wszystkim poprzez przenoszenie się przemysłu i miejsc pracy do Chin. Zamykano huty, zamykano zakłady chemiczne, a teraz zamyka się już nawet perłę w koronie europejskiego przemysłu: fabryki samochodów. Gdy UE zmniejszyła swoje „emisje" na przestrzeni ostatnich dwóch dekad o 1,3 mld ton w skali roku – reszta świata zwiększyła emisje o 12 mld ton, czyli prawie dziesięciokrotność unijnej redukcji. Redukcja emisji stała się obsesją unijnych regulatorów produkujących kilometry nowych regulacji utrudniających lub wręcz uniemożliwiających prowadzenie działalności w kolejnych branżach. Ta pieczołowita praca regulatorów z Brukseli starających się wytropić emisje i ślady węglowe w każdym przejawie działalności gospodarczej oparta była wyłącznie na ideologii.

Walka z emisjami nigdy nie miała racjonalnych podstaw. Rzetelne spojrzenie na globalne emisje CO_2 daje tylko jeden wniosek: im bardziej UE ograniczała swoje emisje, tym bardziej kraje takie jak Chiny i Indie zwiększały swoje emisje o wielokrotność tego, co Unii udało się „ograniczyć". Jedynym prawdziwym skutkiem tych polityk jest ogromne uzależnienie UE od importu wielu strategicznych produktów. Polska była i jest tymi działaniami najbardziej krzywdzona, ponieważ pośród wszystkich paliw kopalnych dla Unii wrogiem numer jeden jest węgiel. Gaz ziemny za to uznawany był za preferowany – tym bardziej, im bardziej umacniała się przyjaźń pomiędzy Angelą Merkel a Władimirem Putinem.

W raporcie wprowadzamy pojęcie energetycznego DNA kraju. Każde państwo ma różne zasoby, którymi zostało obdarowane. Jedni – jak Norwegia czy Szwecja – mają powierzchnię kraju bardzo górzystą, z dużą liczbą rzek, co tworzy wspaniałe warunki dla energetyki wodnej. Inni – jak Dania – mają bardzo długą linię brzegową w proporcji do powierzchni kraju,

eprasa.pl 028b2d3545

Tabela 1: Import strategicznych produktów do UE z Chin i Indii, gdzie są one produkowane w oparciu o węgiel

Produkt / Gałąź	Główny dostawca	Stopień zależności UE	Związek z węglem
Stal i wyroby stalowe	Chiny + Indie	Wysoki (import + komponenty)	Bezpośredni (koks)
API i prekursory leków	Chiny (głównie) + Indie	Bardzo wysoki (zwłaszcza antybiotyki, witaminy)	Pośredni (coal-to-chemicals)
Tworzywa sztuczne i polimery	Chiny	Znaczny	Silny (MTO, metanol)
Chemikalia bazowe	Chiny	Średni/wysoki	Silny

co pozwala im korzystać z energetyki wiatrowej na morzu. Jeszcze inni – jak Hiszpania – mają bardzo korzystne warunki dla energetyki słonecznej. Są też kraje, które swoje bogactwo zbudowały na węglowodorach: ropie i gazie ziemnym, takie jak Arabia Saudyjska, Katar czy Norwegia. I są wreszcie kraje, które nie mają żadnego z powyższych atutów, za to mają ogromne złoża węgla. Takim właśnie krajem jest Polska. Naszym energetycznym DNA jest to, że mamy jedne z największych zasobów węgla na świecie. Podobnym w tej kwestii krajem są Chiny. Choć w wielu regionach tego kraju są również znacznie lepsze niż w Polsce warunki do energetyki wiatrowej, słonecznej i wodnej, to jednak fundamentalnym zasobem Chin jest węgiel, i to na węglu państwo to zbudowało swoją gospodarczą potęgę.

Tabela 2: Chińskie produkty z karbochemii

Produkt / Gałąź	Rola węgla	Znaczenie dla Chin
Metanol	Główny surowiec (zgazowanie → syngaz → metanol)	~75–89% metanolu w Chinach z węgla
Olefiny (etylen, propylen) – MTO (Methanol-to-Olefins)	Kluczowe do tworzyw sztucznych (PE, PP, PVC)	Ogromna baza petrochemiczna bez zależności od ropy
Amoniak i nawozy	Produkcja nawozów azotowych	Bezpieczeństwo żywnościowe
Etylenglikol, poliester	Produkcja włókien, butelek PET	Tekstylia, opakowania
Paliwa syntetyczne (CTL)	Coal-to-Liquids (benzyna, diesel)	Bezpieczeństwo energetyczne
Inne chemikalia	Rozpuszczalniki, farmaceutyki, pestycydy, gumy, tworzywa specjalistyczne	Szeroki łańcuch downstream

Jednym z obszarów chińskiej potęgi jest karbochemia, czyli wykorzystanie węgli kopalnych w przemyśle chemicznym. Etanol, olefiny, amoniak, poliester i cała gama innych związków chemicznych – to fundamenty nowoczesnej gospodarki. Wszystkie te produkty można wytwarzać zarówno z węgla, jak i z węglowodorów: ropy i gazu, bo te kopaliny to bliscy „krewniacy". Chiny postępują racjonalnie – mając ogromne zasoby węgla, a znikome zasoby ropy i gazu, opierają swoją gospodarkę na węglu – bazowanie na swoich zasobach jest przecież najbezpieczniejsze i najroztropniejsze. Szacuje się, że wyłącznie na potrzeby karbochemii Chiny zużywają już nawet 400 mln ton węgla rocznie – siedmiokrotność całości polskiego zużycia węgla – i zużycie to dynamicznie rośnie. Ideologiczna wojna z węglem do Chin po prostu nie dotarła.

W tym samym czasie Polska była ofiarą regulacji takich jak ETS i wielu bardzo szczegółowych przepisów opracowywanych w Brukseli i wręcz stworzonych po to, żeby

eprasa.pl 028b2d3545

eliminować wykorzystanie węgla z całej gospodarki. Jednocześnie w świecie Zachodu panowała zmowa instytucji finansowych zabraniająca finansowania jakichkolwiek przedsięwzięć związanych z węglem: zarówno w energetyce, jak i samych kopalń, ich modernizacji, utrzymania, rozwoju, a co dopiero otwierania nowych. W ten sposób mamy dwie dekady zapóźnienia w kluczowych i nowoczesnych sektorach gospodarki, które w Chinach i Indiach dynamicznie się rozwijają, a UE importuje stamtąd produkowane przez te branże produkty.

Ursula von der Leyen ogłosiła niedawno, że odejście od atomu było strategicznym błędem Europy. W normalnym świecie autor takiego błędu, który kosztował Europę utratę setek miliardów euro i milionów miejsc pracy, wziąłby za niego odpowiedzialność i podał się do dymisji. Nie dotyczy to jednak Komisji Europejskiej. Szefowa Komisji, która była autorką tego błędu, chce dalej nas prowadzić i przewodzić Europie. Tych błędów jednak niespodziewanie odkrytych zostanie więcej. Niebawem „odkryty" zostanie fakt, że polityki: klimatyczna, redukcji emisji oraz ETS – też były „błędami". W kwestii „emisji" działania te nie odniosły żadnego skutku, za to dla europejskiej gospodarki były zabójcze.

Polska musi być gotowa na ten zbliżający się wielkimi krokami moment upadku polityki klimatycznej. Nasze energetyczne DNA sprawia, że na odejściu od tej polityki skorzystać możemy najwięcej. W raporcie przedstawiamy konkretne rekomendacje, jak powstrzymać i ograniczyć wpływ ideologicznych polityk już teraz. Każdy może zapoznać się z całością raportu na stronie internetowej: www.300zlmwh.pl. Jednocześnie jako kraj powinniśmy szykować się na to, że polityka klimatyczna upadnie przy negocjacjach unijnego budżetu na kolejną perspektywę, na lata 2028–2034. Na oczekiwane przez Ursulę von der Leyen 2 biliony euro do wydania na „jeszcze więcej tego samego" – nie ma zgody ani w Niemczech, ani we Włoszech, ani nawet we Francji.

Tabela 3: Wykorzystanie węgla w Chinach do produkcji kluczowych leków importowanych przez UE

Substancja	Bezpośredni związek z karbochemią w Chinach	Poziom zależności Chin od węgla w produkcji
Paracetamol	Silny (prekursory aromatyczne)	Bardzo wysoki
Ibuprofen	Silny (związki aromatyczne)	Wysoki
Antybiotyki	Pośredni–silny (intermedia + rozpuszczalniki)	Wysoki
Witaminy	Pośredni–silny	Wysoki

Polskie energetyczne DNA oznacza nie tylko, że powinniśmy otwierać nowe kopalnie węgla kamiennego na Lubelszczyźnie i Śląsku, eksploatować złoże Złoczew i budować nowe, nadkrytyczne bloki energetyczne. Powinniśmy jednocześnie rozwijać nowoczesny przemysł chemiczny oparty na węglu i moglibyśmy to robić przez ostatnie dwie dekady, gdyby nie ideologiczna wojna Brukseli z węglem. „Rekarbonizacja" gospodarki jest obecnie dla Polski nieodzownym warunkiem do stworzenia nowych motorów dalszego wzrostu gospodarczego kraju.

Powinniśmy w Polsce przygotowywać nowe projekty inwestycyjne dotyczące wydobycia węgla oraz bloków energetycznych opartych na tym surowcu, ponieważ karbochemia to tylko jedna z dziedzin nowoczesnej gospodarki, która może być oparta na węglu. Przecież także nowoczesne centra obliczeniowe, sztuczna inteligencja, rozwój cyfrowej gospodarki i przemysłu zbrojeniowego – wszystkie te sfery wymagają potężnych ilości taniej energii, dostępnej 365 dni w roku, 24 godziny na dobę. Gospodarka przyszłości to gospodarka oparta na nadpodaży taniej energii. W walce o przyszłość wygrają te kraje, które będą w stanie takie warunki – nadpodaż taniej energii – zapewnić. W warunkach polskich, przy naszym energetycznym DNA, możemy to zrobić tylko w oparciu o węgiel.

Na tym tle widać, jak wielkim błędem było i jest zastępowanie rodzimego węgla importowanym gazem ziemnym. Gaz ziemny czy ropa – których Polska nie ma i od których dostaw z dalekich stron jest zależna – nie mogą Polsce dać żadnych przewag konkurencyjnych nad innymi państwami. Te surowce mogą dać przewagę jedynie tym krajom, które nimi dysponują, a nie tym, które je importują. Polska swoją przewagę może budować jedynie na węglu. Atom warto rozwijać, ale to zajmie dekady, a Polska potrzebuje nowych silników rozwoju gospodarczego tu i teraz.

eprasa.pl 028b2d3545

Greenexit albo śmierć

Zielony Ład zaczyna wisieć nad Europą jak **złowrogi cień**, który odbiera tlen i warunki do wzrostu. Narzekają na niego nawet unijni komisarze. Irracjonalność tego projektu daje nadzieję na jego szybsze zakończenie.

Jakub Pacan

Górnicy protestują w Warszawie przeciwko Zielonemu Ładowi, 9 stycznia 2025 r.

Fot. M. Żegliński

Referendum ws. Zielonego Ładu jest bezsensowne. Polska musiałaby wyjść z UE, żeby zrezygnować z tego projektu – to stwierdzenie pojawiało się w oficjalnych wypowiedziach polityków Koalicji 13 grudnia, ale też w komentarzach internetowych pod wpisami dotyczącymi inicjatywy prezydenta RP Karola Nawrockiego, by takie referendum się odbyło.

Zielony Ład stał się złotym cielcem, sezonowym bożkiem Unii Europejskiej. Właściwie nie wiadomo, kiedy European Green Deal z projektu ekologicznego wyrósł na święty dogmat, który wszedł w sferę sacrum i stał się nowym mitem dla Europy. Wiadomo jednak, że świętych dogmatów się nie podważa, tylko się je wyznaje i oddaje się im cześć. W Europie panuje już taka atmosfera. Ta nowa religia ma nawet wyznawców w formie karykaturalnej, np. osoby z tzw. Ostatniego Pokolenia, które przyklejały się do asfaltu w proteście przeciw zmianom klimatu.

Nowy mit Europy

Ten mit ma za zadanie zupełnie zmienić świadomość Europejczyków i stosunki własnościowe poprzez zubożenie i wywłaszczenie ludności w Europie z własności. To nie teoria spiskowa, tylko wyliczenia specjalistów. Na łamach „Tygodnika Solidarność" wielokrotnie poruszaliśmy to zagadnienie, przywołując poważne autorytety naukowe w tej dziedzinie, m.in. prof. Zbigniewa Krysiaka i prof. Witolda Modzelewskiego. Naukowcy, nie tylko ci wymienieni, są zgodni: tego projektu nie da się zbilansować finansowo w takich warunkach atmosferycznych, jakie panują np. w Polsce.

W raporcie Polskiego Towarzystwa Gospodarczego pt. „Konkurencyjność czy transformacja? Nowa mapa energetyczna Polski" wyliczono, że w grudniu 2025 roku miks energe-

eprasa.pl 028b2d3545

tyczny Polski wyglądał następująco: z węgla kamiennego i brunatnego pochodziło 66,46% energii elektrycznej, natomiast łącznie z paliw kopalnych (węgiel i gaz) – 81,52%. „W tym kontekście zasadne jest pytanie o realne zastąpienie węgla w warunkach mroźnej zimy po 2040 r., mając na względzie bariery zastąpienia węgla gazem, ograniczenia hydroenergii (1,59%) oraz marginalny wkład PV/biomasy/biogazu w grudniu 2025 r. (2,40%)" – zwracają uwagę autorzy raportu.

Czarnym charakterem i największym złem w zielonej religii jest właśnie węgiel. Tak wielki i fundamentalny projekt jak Zielony Ład nie może się obyć bez sięgania po pozaracjonalne sfery psychiki. Marksistowski filozof Kohei Saito z Japonii twierdzi, że Zielony Ład to nowe „opium dla ludu". Unijni urzędnicy poszli dalej w głoszeniu dogmatu, że „nie ma alternatywy" dla polityki klimatycznej, i zmuszają Europejczyków do praktykowania czegoś, co można nazwać religią „ofiarniczą", czyli składania ofiary z własnej wygody, ba, z podstawowych nieraz dóbr na rzecz klimatu. Niemcy już dzisiaj mają czasowe wyłączenia prądu spowodowane niestabilnością w dostawach pochodzących z odnawialnych źródeł energii.

Odwrót od dekarbonizacji

Alternatywa jednak jest. Wszystko, co ludzką ręką stworzone, nawet prawo wyryte w kamieniu, jeśli jest złe i nie służy wspólnocie, nie będzie przestrzegane, będzie omijane, a w końcu upadnie. – Założenie, że te regulacje zostaną wdrożone w sposób efektywny, czyli nie tylko wejdą w życie, ale będą realnie egzekwowane, jest założeniem całkowicie nierealnym z dwóch powodów. Po pierwsze – prawo, które jest nieafirmowane przez większość adresatów tychże nakazów zostanie zbojkotowane, tym bardziej że to adresat masowy, czyli wszyscy obywatele UE. Przepisy Zielonego Ładu są w zasadniczy sposób sprzeczne z interesami adresatów tych zapisów. Dlatego gdyby nawet udało się je implementować do prawa krajowego, to istniejąc, formalnie nie będą wykonywane i przy powszechnym sprzeciwie nikt nie wyegzekwuje ich stosowania od obywateli – powiedział w rozmowie z „Tygodnikiem Solidarność" prof. Witold Modzelewski. Dodał także, że większość tych regulacji jest niekonstytucyjna, ponieważ „własność podlega konstytucyjnej ochronie i jeżeli wierzymy w państwo prawne, to żadna z tych regulacji – w istocie wywłaszczeniowych, zagrażających własności nie tylko prywatnej, bo to oczywiste, ale także własności państwowej – nie jest konstytucyjna".

Dziś pewnie połknąłby własny język. Jak ten rząd dba o polskie interesy na zewnątrz, widać choćby na przykładzie umowy z Mercosur, w której w UE łącznie ochroną objęto 344 produkty rolne: 63 produkty z Francji, 59 z Hiszpanii, 57 z Włoch, 27 z Niemiec i tylko 2 z Polski – Polską Wódkę oraz Żubrówkę. Jak tu mówić o ochronie polskiego przemysłu wydobywczego i ciężkiego, takiego jak kopalnie i huty?

W myśleniu naszej klasy politycznej o UE są dwie skrajności: albo jawna uległość prezentowana przez Koalicję 13 grudnia i stronę liberalno-lewicową lub uległość ukryta prezentowana przez PiS i część prawicy, gdzie co innego mówi się na potrzeby własnego elektoratu, a co innego się robi w Brukseli, albo zupełna negacja,

ZIELONEGO ŁADU ZACZYNAJĄ MIEĆ DOŚĆ NAJWYŻSI URZĘDNICY UNIJNI. KOMISARZE KOMISJI EUROPEJSKIEJ CORAZ GŁOŚNIEJ WYRAŻAJĄ NIEZADOWOLENIE Z POWODU KONIECZNOŚCI PRZYMUSOWYCH POSTOJÓW NA ŁADOWANIE ELEKTRYCZNYCH SAMOCHODÓW.

Problem polskiej klasy politycznej polega jednak na tym, że traktuje Unię Europejską jako absolut, nie jako klub, gdzie w ramach rozdzielenia stanowisk trzeba jak najwięcej dla siebie ugrać. Obecny minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski miał okres w swoim politycznym życiu, w którym podkreślał, że uczestnictwo Polski w UE nie oznacza rezygnacji z konkurowania czy dbania o własne interesy w ramach wspólnoty. Ciekawe, czy jeszcze pamięta tamte słowa. czyli „wypier-z-pol", „polexit" prezentowany przez alt-prawicę, której twarzą staje się Grzegorz Braun.

Tymczasem nie musi to tak wyglądać. „Siła państwa na zewnątrz objawia się w możliwości niepodlegania woli innych państw i możliwości narzucania im swej woli [...] Państwo zwiększa bezpośrednio swoją potęgę, gdy przyczynia się do zmniejszenia potęgi innych państw [...] Siła państwa pojawia się w chwilach, gdy istnieje sprzeczność między

eprasa.pl 028b2d3545

państwami" – pisał w „Imperializmie państwowym" geniusz myśli politycznej Adolf Bocheński. Tłumaczył także, że „Siła narodu, jego znaczenie w hierarchii międzynarodowej zależy wyłącznie od siły państwa [...] Państwo jest niejako dźwigarem, za pomocą którego naród jest w stanie utrzymać się i rozszerzyć swój stan posiadania".

Przez sprzeciw dla dekarbonizacji nikt nie wyrzuci Polski z UE i się na nią nie obrazi. Nasza obecność we wspólnocie jest zbyt cenna dla największych graczy Unii, by nas z niej wypraszać. Na Polsce się dobrze zarabia. Nasz kraj ma w tym sprzeciwie sprzymierzeńców, ponieważ nikt nie zapytał się o to wyborców. Nie ma w Polsce i Europie partii politycznej, która wygrałaby wybory, mając wśród swoich sztandarowych haseł dekarbonizację i likwidację przemysłu ciężkiego. Nie ma powszechnej legitymizacji wyborców dla założeń Zielonego Ładu, likwidacji kopalń, hut i przemysłu chemicznego. Nikt nie ma prawa żądać od Polaków wyrzeczeń, które de facto zagrażają ich podstawowej egzystencji. Ostatnie referendum w Krakowie, które odwołało prezydenta z ramienia Koalicji Obywatelskiej Aleksandra Miszalskiego, „odpaliło" mieszkańców i zmobilizowało ich do pójścia do urn m.in. przez wprowadzenie w mieście Stref Czystego Transportu.

Otrzeźwienie

Tym bardziej że – jak wskazują autorzy wspomnianego raportu „Konkurencyjność czy transformacja? Nowa mapa energetyczna Polski" – „Obecnie obserwujemy refleksje liderów świata zachodniego nad podejściem do relacji dekarbonizacja a konkurencyjność – 12 lutego 2026 r. stał się istotnym momentem w debacie dotyczącej relacji między polityką klimatyczną a konkurencyjnością przemysłu po obu stronach Atlantyku. W Unii Europejskiej pojawiły się sygnały możliwego złagodzenia zasad funkcjonowania systemu EU ETS, w tym utrzymania części darmowych uprawnień do emisji oraz zwiększenia elastyczności dla sektorów przemysłowych narażonych na presję konkurencyjną. W dyskusji tej głos zabrał m.in. Friedrich Merz, wskazując, że jeżeli mechanizmy polityki klimatycznej nie zapewniają odpowiedniej ochrony konkurencyjności europejskiego przemysłu, konieczna może być ich korekta".

Ba, Zielonego Ładu zaczynają mieć dość najwyżsi urzędnicy unijni. „Komisarze Komisji Europejskiej coraz głośniej wyrażają niezadowolenie z powodu konieczności przymusowych postojów na ładowanie elektrycznych samochodów podczas służbowych podróży do Strasburga. Nowoczesna, ekologiczna flota miała być symbolem zielonej transformacji, tymczasem staje się źródłem frustracji i logistycznych problemów" – podaje RMF FM.

W 2022 roku Komisja Europejska rozpoczęła wymianę swojej floty na pojazdy elektryczne, deklarując, że do 2027 roku wszystkie służbowe auta będą zeroemisyjne. Dziś około 80% ze 128 pojazdów to samochody elektryczne. Podróże między Brukselą a Strasburgiem, trwające około 5 godzin, wydłużają się o czas ładowania samochodów. Każde ładowanie trwa z kolei pół godziny. Irytacja komisarzy i urzędników wzrasta.

Dość mają nie tylko oni. Na szczycie Rady Europejskiej, który odbył się 20 marca br., kwestia poprawy konkurencyjności przemysłu energochłonnego poprzez obniżenie cen energii i poluzowanie wymogów polityki klimatycznej UE zajęła centralne miejsce. Miesiąc wcześniej kanclerz Niemiec Friedrich Merz i prezydent Francji Emmanuel Macron spotkali się z przedstawicielami biznesu energochłonnego, by omówić plan awaryjny poprawiający warunki funkcjonowania tych branż w Europie. Po spotkaniu obaj przywódcy zakwestionowali kierunek polityki klimatycznej i skrytykowali poziom cen uprawnień do emisji CO_2 w systemie ETS.

Dogmat o Zielonym Ładzie zaczyna się kruszyć. Obecnie sprzeciwiają się mu przedstawiciele branż energochłonnych. Można się spodziewać, że prawdziwe otrzeźwienie przyjdzie, kiedy ludzie masowo zaczną biednieć. Tyle tylko że wtedy może być za późno na powrót do konkurencyjności europejskiej gospodarki.

PRZEZ SPRZECIW DLA DEKARBONIZACJI NIKT NIE WYRZUCI POLSKI Z UE I SIĘ NA NIĄ NIE OBRAZI. NASZA OBECNOŚĆ WE WSPÓLNOCIE JEST ZBYT CENNA DLA NAJWIĘKSZYCH GRACZY UNII, BY NAS Z NIEJ WYPRASZAĆ. NA POLSCE SIĘ DOBRZE ZARABIA.

eprasa.pl 028b2d3545

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Magdalena Okraska

Gdy frekwencja jest przeszkodą

Wynik krakowskiego referendum, w którym odwołano prezydenta Aleksandra Miszalskiego, pokazał, że dla liberalnej części społeczeństwa wysoka frekwencja w referendum (obojętnie już, czy lokalnym, czy ogólnokrajowym) to żaden sukces demokracji czy gorzka – ale jednak demokratyczna – pigułka do przełknięcia.

Dla liberałów to, że jakieś referendum organizowane jest przez „nieprawomyślnych" bądź „nie tak" sformułowano w nim pytania, przekreśla zarówno samą ideę udziału w nim, jak i jego wynik. Według tego wykładnika, jeśli bowiem „źli" organizują referendum, to jest ono z gruntu złe, niewłaściwe, niedemokratyczne, w skrócie – nie posiada mandatu do reprezentowania poglądu społeczeństwa na jakąś sprawę, nawet gdyby udało się na nie 80% uprawnionych do oddania głosu.

To liberałowie decydują, co jest demokratyczne, a co takie nie jest, tym samym zaprzeczając samej idei i definicji demokracji. Demokracja jest to bowiem wyrażona wola większości. To na podstawie tej woli podejmowane są większościowe decyzje, i to o nich można ewentualnie pod kątem politycznym czy etycznym potem dyskutować, jednak nie ma takiej możliwości, by sam proces wyrażania woli (w odpowiedzi na pytanie!) przez wolne społeczeństwo był „niedemokratyczny".

Mimo to od kilku dekad, a w wielkim nasileniu od kilkunastu lat, okłada się nas pałką takich sformułowań, by wywołać... właściwie nie wiadomo co. Wyrzuty sumienia, że obywatel, zapytany o swoją wolę, w odpowiedzi ją wyraża? Konflikt?

Tak, konflikt z pewnością.

Niesłychana jest buta tych ludzi, ich głupawe triki „lewą ręką za prawe ucho", by wyszło na ich. Te same osoby namawiają bowiem do udziału w jednych głosowaniach (i wtedy frekwencja jest ważna, najważniejsza), a aktywnie zniechęcają do innych. W ostatnich tygodniach krakowskie autorytety, artyści, lewicowi działacze i inni rzucili się dawać świadectwo. Z pozoru chodziło o pokazanie, że referendum jest jakieś „lewe", a po obalonym Miszalskim „mogą przyjść gorsi". Tak naprawdę jednak głównie okazywano w ten sposób lojalność platformianej władzy. Krytyczna lewica, spółdzielcy, artyści tłumnie pokazywali, jak bardzo nie idą. Było to bardzo zabawne, choć niezmiennie palmę pierwszeństwa w tej konkurencji dzierży warszawski działacz miejski Jan Mencwel, który latami walczył z Rafałem Trzaskowskim jako prezydentem Warszawy, by w końcu „z bólem serca" namawiać do głosowania właśnie na niego. Elity walczą bowiem „z faszyzmem", a pod „faszyzm" można podstawić wszystko, co im akurat nie odpowiada. Nie musi nawet być specjalnie prawicowe.

Kraków pogonił Miszalskiego (niestety ostatecznie bez rady miasta). Bardzo dobrze. Politycy, samorządowcy – bójcie się referendów lokalnych i ogólnokrajowych. Pracujecie dla ludzi, nawet jeśli czasem ten pomysł wydaje się wam egzotyczny.

eprasa.pl 028b2d3545

Jak wygrać z Zielonym Ładem

Zielony Ład dla wielu Polaków przestaje być projektem „ratowania planety", a staje się **realnym kosztem** i ograniczeniem oraz narzędziem kontroli nad ich codziennym życiem. To pokazuje, że w tej rozgrywce wygra nie strona, która ma lepsze wykresy, lecz ta, która skuteczniej zdefiniuje sam spór.

Ludwik Pęzioł

Piotr Duda na manifestacji „S" popierającej inicjatywę referendalną prezydenta Karola Nawrockiego ws. Zielonego Ładu; Warszawa, 20 maja br.

Fot. M. Żegliński

Sondaż jak senny koszmar PiS – tak jeszcze kilka lat temu media lewicowo-liberalne komentowały wyniki badań, według których aż 81 proc. Polaków popierało Zielony Ład. W ostatnim czasie krajobraz tej politycznej i społecznej wojny zmienił się jednak nie do poznania. Nawet w najbardziej optymistycznych dla zwolenników unijnej polityki klimatycznej badaniach Polacy są dziś w tej kwestii podzieleni niemal po równo. W tych mniej przychylnych przewagę zdobywają już sceptycy – według badania Ogólnopolskiej Grupy Badawczej z 2025 roku aż 65 proc. Polaków opowiada się za wyjściem ze strategii Zielonego Ładu. To pokazuje, że obóz przeciwników tej polityki odniósł realny sukces komunikacyjny. Warto więc postawić pytanie: co zadziałało i jest warte kontynuowania, a co można zrobić jeszcze skuteczniej?

I kto tu jest naprawdę ideowy?

Gdy przyjrzeć się badaniom dokładniej, uwzględniając wiek, miejsce zamieszkania czy status społeczny, trudno nie zauważyć jednego: Polacy zaczęli postrzegać Zielony Ład przez pryzmat najbardziej podstawowego doświadczenia, czyli własnego poziomu życia. Wysokość rachunków, ceny energii, koszty ogrzewania, ograniczenia dotyczące samochodów czy kolejne regulacje zaczęły być odczuwane nie jako abstrakcyjna debata o klimacie, ale jako konkretna ingerencja w codzienne życie. To właśnie okazało się największą słabością Zielonego Ładu. Projekt przedstawiany jako moralna misja zaczął być odbierany jako kosztowny system przymusów.

Ten proces ma jednak swoją pułapkę komunikacyjną. Zwolennicy Zielonego Ładu bardzo chętnie przedstawiają jego przeciwników jako ludzi kierujących się wyłącznie własnym interesem: wygodą, ego-

eprasa.pl 028b2d3545

izmem i niechęcią do wyrzeczeń. Po jednej stronie mają więc stać „ideowcy", gotowi poświęcić coś dla dobra planety, przyszłych pokoleń czy zagrożonych gatunków. Po drugiej zaś ci, którzy „widzą tylko czubek własnego nosa". Ten podział trzeba zakwestionować, bo jest on nie tylko propagandowy, lecz także fałszywy.

W rzeczywistości sprzeciw wobec Zielonego Ładu również może być postawą ideową, i to zakorzenioną w wartościach znacznie bliższych demokracji niż wizja forsowana przez unijne elity. Przeciwnicy Zielonego Ładu mogą odwoływać się jednocześnie do dwóch wielkich wartości: wolności i równości. Wolności – ponieważ Zielony Ład coraz częściej przybiera formę systemu administracyjnego przymusu. Gdy okazało się, że społeczeństwa nie chcą przyjmować „zielonej rewolucji" dobrowolnie, pojawiły się kolejne zakazy, normy, podatki i sankcje. Ograniczanie sposobu ogrzewania domów, presja na likwidację samochodów spalinowych czy próby narzucania obywatelom określonego stylu życia nie są odbierane jako „moralnie słuszne", lecz jako polityka „wychowywania" społeczeństw siłą. To właśnie tutaj przeciwnicy Zielonego Ładu mogą zdobywać przewagę także wśród ludzi mniej podatnych na argument ekonomiczny. Stawką przestają być jednak wyłącznie rachunki. Staje się nią pytanie o model społeczeństwa: czy obywatel ma jeszcze prawo sam decydować o swoim życiu i ponosić koszty własnych wyborów, czy też ma zostać podporządkowany wizji projektowanej przez ponadnarodowych oligarchów.

Równie mocny jest argument równości. Zielony Ład najmocniej uderza bowiem nie w ludzi najbogatszych, lecz w klasy średnie i niższe. Dla zamożnych elit wyższe rachunki za energię czy zakup nowego samochodu elektrycznego są zaledwie niedogodnością. Dla milionów obywateli żyjących „od pierwszego do pierwszego" mogą oznaczać nawet pogrążenie się w ubóstwie. Zielony Ład coraz częściej wygląda więc jak projekt, w którym koszty „wzniosłych celów" przerzuca się na tych, którzy mają najmniej politycznej i ekonomicznej siły, by się obronić.

W tym sensie stosunek do Zielonego Ładu stał się wręcz testem na autentyczne przywiązanie do demokracji. Gdy tylko pojawia się pomysł referendum lub oddania głosu obywatelom, tzw. siły demokratyczne nagle zaczynają przekonywać, że społeczeństwo „nie rozumie problemu", „uległo populizmowi" albo „trzeba je ochronić przed nim samym". Demokratyczne procedury okazują się słuszne tylko wtedy, gdy dają oczekiwany wynik. I właśnie tutaj jest być może największa słabość obozu Zielonego Ładu. Im bardziej jego zwolennicy próbują narzucać społeczeństwom kosztowne zmiany wbrew rosnącemu oporowi, tym bardziej sami zaczynają wyglądać nie jak demokraci, lecz jak pyszna i arogancka oligarchia przekonana o własnej moralnej i intelektualnej wyższości.

Bez wojowania „nauką"

Równie niebezpieczne jak przedstawianie przeciwników Zielonego Ładu jako „bezideowych egoistów" jest ustawienie całego sporu na osi: „wierzący w naukę" kontra „klimatyczni religianci". Taka linia podziału może wydawać się wygodna medialnie, ale politycznie i komunikacyjnie jest dla sceptyków skrajnie niekorzystna. Badania opinii publicznej pokazują bowiem coś znacznie bardziej złożonego: istnieje ogromna grupa ludzi, którzy jednocześnie uznają istnienie zmian klimatycznych i wpływ człowieka na klimat, a mimo to sprzeciwiają się Zielonemu Ładowi. I nie ma w tym żadnej sprzeczności. W rzeczywistości postaw jest znacznie więcej niż prosty podział na „wierzących" i „negacjonistów". Jedni uważają, że zmiany klimatu istnieją, ale ich skutki są wyolbrzymiane. Inni są przekonani, że problem jest realny, lecz proponowane rozwiązania są nieskuteczne albo niewspółmiernie kosztowne. Jeszcze inni sądzą, że zmiany klimatyczne to tylko jeden z wielu kryzysów i nie mogą usprawiedliwiać całkowitego podporządkowania polityki gospodarczej, energetycznej i społecznej jednej idei.

> SPRZECIW WOBEC ZIELONEGO ŁADU RÓWNIEŻ MOŻE BYĆ POSTAWĄ IDEOWĄ, I TO ZAKORZENIONĄ W WARTOŚCIACH DEMOKRATYCZNYCH.

Właśnie dlatego wciąganie całego sporu na pole „naukowości" jest strategicznym błędem. Oznacza dobrowolne zawężanie własnego obozu do ludzi o najbardziej radykalnych poglądach, podczas gdy większość społeczeństwa myśli znacznie bardziej pragmatycznie. Politykę wygrywa się szerokimi koalicjami społecznego niezadowolenia,

eprasa.pl 028b2d3545

a nie ideologiczną czystością. Mówiąc brutalnie: jeśli znacząca część sceptyków zacznie przekonywać, że każdy uznający antropogeniczne zmiany klimatu jest „frajerem", „ekofanatykiem" albo „ofiarą propagandy", sama zacznie wypychać potencjalnych sojuszników w objęcia własnych przeciwników. A przecież ktoś może uważać, że klimat się zmienia, i jednocześnie nie chcieć likwidacji samochodów spalinowych, przymusowej termomodernizacji domu czy drastycznego podnoszenia kosztów życia.

To bardzo ważne: przeciwnicy Zielonego Ładu nie muszą wygrać sporu o klimat, by wygrać spór o zielone polityki unijne. Wystarczy, że przekonają większość społeczeństwa, iż proponowana terapia jest bardziej dotkliwa niż sama choroba. Dlatego najskuteczniejsza strategia nie polega na wojowaniu argumentami „naukowymi", lecz na przesuwaniu dyskusji na poziom konkretnych kosztów społecznych, wolności obywatelskich, bezpieczeństwa energetycznego i demokratycznej kontroli nad polityką gospodarczą. To na tym polu przeciwnicy Zielonego Ładu są dziś najsilniejsi.

Mój przyjaciel radykał

Przeciwnicy Zielonego Ładu nie mają często lepszych sprzymierzeńców niż najbardziej fanatyczni wyznawcy tej ideologii. Im bardziej radykalne stają się język i pomysły ekologicznych aktywistów, tym łatwiej społeczeństwo zaczyna dostrzegać, że nie chodzi już wyłącznie o ochronę środowiska, lecz o próbę głębokiej przebudowy stylu życia, gospodarki, kultury i relacji społecznych.

Najpierw kwestia formy. Określenia w rodzaju „klimatyczny debil", regularnie rzucane pod adresem sceptyków, doskonale pokazują pogardę, agresję i przekonanie o własnej intelektualnej wyższości. Tego typu język, wbrew temu, co wydaje się ekoradykałom, nie buduje poparcia. Ludzie mogą tolerować nawet kontrowersyjne idee, ale bardzo źle znoszą bycie traktowanymi jak ciemna masa, którą trzeba wychować albo zawstydzić. Dlatego eksponowanie takich postaw jest dla sceptyków niezwykle korzystne.

Podobnie działa nagłaśnianie najbardziej skrajnych propozycji: zakazy podróży lotniczych dla zwykłych obywateli, ograniczenia spożycia mięsa, administracyjne ingerowanie w dietę społeczeństwa, pomysły racjonowania energii czy stopniowego wypychania ludzi z domów jednorodzinnych... nawet jeśli część tych projektów pojawia się dziś jedynie w środowiskach aktywistycznych, działają one na wyobraźnię społeczną znacznie mocniej niż najbardziej skomplikowane raporty ekonomiczne.

Właśnie ta wyobraźnia ma tu kluczowe znaczenie. Ludzie zaczynają zadawać sobie pytanie: co będzie, jeśli to oni naprawdę zdobędą pełnię wpływu? Jeśli dzisiejsze absurdalne pomysły jutro staną się obowiązującą polityką? Strach przed utratą normalnego życia jest jednym z najsilniejszych motywatorów politycznych. Warto przy tym pamiętać o jeszcze jednej rzeczy. Najbardziej doświadczeni propagandyści rzadko mówią społeczeństwu wszystko wprost. Najdalej idące cele często pozostają na poziomie debat eksperckich albo rozmów we własnym gronie. Radykałowie są o tyle użyteczni, że mówią głośno to, co bardziej „umiarkowani" wolą dawkować etapami.

Dlatego jednym z najważniejszych zadań przeciwników Zielonego Ładu powinno być nieustanne wymuszanie jasności i pokazywanie społecznych konsekwencji najbardziej radykalnych projektów. W polityce ogromne znaczenie ma bowiem nie tylko to, kto ma rację, ale także to, kto wydaje się rozsądny. A rozsądek ocenia się zarówno po treści, jak i po języku, stylu i stosunku do zwykłych ludzi.

ISTNIEJE OGROMNA GRUPA LUDZI, KTÓRZY JEDNOCZEŚNIE UZNAJĄ ISTNIENIE WPŁYWU CZŁOWIEKA NA KLIMAT, A MIMO TO SPRZECIWIAJĄ SIĘ ZIELONEMU ŁADOWI.

STRACH PRZED UTRATĄ NORMALNEGO ŻYCIA JEST JEDNYM Z NAJSILNIEJSZYCH MOTYWATORÓW POLITYCZNYCH.

eprasa.pl 028b2d3545

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Karol Gac

Krakowski impuls

Wielu nie wierzyło, że to się uda, a jednak! Prezydent Krakowa Aleksander Miszalski został odwołany w referendum. Czy po stolicy Małopolski przyjdzie czas na kolejne miasta, a w przyszłym roku na Donalda Tuska? Nie tak prędko. Nie zmienia to jednak faktu, że w Krakowie wydarzyło się coś, co może mieć długofalowe i dalekosiężne skutki polityczne.

Temat referendum w Krakowie śledziłem od samego początku z dość dużym zainteresowaniem. Głównie dlatego, że nie miało ono szyldu partyjnego i połączyło naprawdę różne środowiska, co było – w mojej ocenie – jednym z kluczowych czynników, który sprawił, że finalnie zakończyło się ono sukcesem.

Aleksander Miszalski i jego ekipa początkowo starali się bagatelizować referendum oraz powątpiewali, czy organizatorom uda się zebrać wymaganą liczbę podpisów. Faktycznie, na ogół jest to trudne i wiele inicjatyw rozbija się o wymagany próg. Tyle że w Krakowie oddolna mobilizacja była ogromna, więc bardzo szybko stało się jasne, iż referendum się odbędzie.

Mahatma Gandhi powiedział kiedyś: „Najpierw Cię ignorują. Potem śmieją się z Ciebie. Później z Tobą walczą. Później wygrywasz". I dokładnie tak było w Krakowie. Aleksander Miszalski wraz ze swoją świtą sprawili, że organizatorzy referendum przeszli przez wszystkie te etapy i dziś mogą świętować.

Lista zarzutów wobec prezydenta Krakowa była długa – od buty i arogancji, przez nepotyzm, kumoterstwo i zadłużanie miasta, aż po nietrafione i ideologiczne decyzje, jak np. skrajnie rygorystyczna Strefa Czystego Transportu. W efekcie stało się coś, czego wielu nie brało nawet pod uwagę – ludzie powiedzieli „dość" i doprowadzili do politycznego trzęsienia ziemi. Kiedy ludzie zaczynają mieć poczucie, że nie są słuchani, a decyzje podejmowane są ponad ich głowami, to na ogół wcześniej czy później pojawia się reakcja.

Przez lata referenda lokalne często traktowano jak instytucjonalny dodatek do demokracji. Coś istnieje, bo musi istnieć, ale rzadko kiedy naprawdę działa. Ba, Aleksander Miszalski i Koalicja Obywatelska, którzy na co dzień tak chętnie mówią o demokracji i społecznym zaangażowaniu, bez mrugnięcia okiem zagrali w starą grę pt. bojkot referendum. Przyniosło to połowiczny efekt, bo Rady Miasta nie udało się jednak odwołać, choć niewiele zabrakło.

Daleki jestem od przekonania, że referendum w Krakowie wyzwoli prawdziwą lawinę, która zmiecie kolejnych włodarzy miast. Odwołanie Miszalskiego to jednak niewątpliwy sukces i spory problem dla Donalda Tuska. Na fali niezadowolenia ruszają bowiem zbiórki w kolejnych miastach, za które trzymam kciuki.

Warto przy tym pamiętać, że najważniejsze wybory odbędą się w październiku 2027 roku. Niedawna manifestacja Solidarności, która zgromadziła ponad 200 tys. osób pokazała, że społeczeństwo powoli się budzi. „Nasz naród jak lawa"...

eprasa.pl 028b2d3545

Globalne o(t)rzeźwienie

Amerykanie odkryli **kompot**. W mediach społecznościowych za wielką wodą królują ostatnio filmiki wychwalające „najnowsze" odkrycie, czyli smaczny i zdrowy orzeźwiający napój z ugotowanych truskawek.

Agnieszka Żurek

Podobnie rzecz się ma z odkrywaniem tego, o czym Polska – m.in. głosem Solidarności – mówiła od lat, że w sprawie wpływu człowieka na globalne ocieplenie w zależności od doboru pasującej do danej agendy politycznej metody obliczeniowej można udowodnić zarówno tezę twierdzącą, jak i radykalnie przeciwną.

Zamarzamy czy płoniemy?

„Pamiętam, jak w latach 70. mieliśmy zamarznąć na śmierć z powodu nadchodzącej kolejnej epoki lodowcowej – ale przecież to naprawiliśmy, prawda? A teraz z kolei globalne ocieplenie posunęło się trochę za daleko. To oszustwo mające na celu przeznaczenie naszych podatków na bezużyteczne bzdury" – pisze na portalu X Terry Benson. Konserwatywny infuencer piszący pod pseudonimem Savior Servant idzie w swoich wnioskach jeszcze dalej. „Zmiany klimatyczne to mistyfikacja wymyślona po to, by członkowie Kongresu mogli dopuszczać się wykorzystywania informacji poufnych w obrocie papierami wartościowymi oraz przekazywać skradzione pieniądze podatników do start-upów, zarabiając w ten sposób miliony dla siebie. Kongres od pokoleń oszukuje obywateli finansowo. Wszyscy oni wzbogacili się dzięki ustawie RICO [Racketeer Influenced and Corrupt Organizations Act, federalne prawo Stanów Zjednoczonych uchwalone w celu ścigania przestępczości zorganizowanej – przyp. red.], schematom prania brudnych pieniędzy i wykorzystywaniu informacji poufnych w obrocie papierami wartościowymi. Szczerze mówiąc, 95% wszystkich członków Kongresu powinno trafić do więzienia" – stwierdza. „Zmiany klimatu to zjawisko naturalne, które od momentu pojawienia się życia na Ziemi przebiega w cyklach trwających od 40 do 80 lat... Twierdzenie, że obciążenie ludzi ogromnymi podatkami powstrzyma ten proces, jest mistyfikacją – uważa z kolei Matthew Hemstreet.

Uczestnicy internetowej dyskusji na temat „klimatycznego oszustwa" wskazują, że zmiany klimatyczne to mechanizm podatkowy mający na celu utrzymywanie ludzi w ubóstwie, a także operacja prania brudnych pieniędzy, w ramach której środki z podatków są wykorzystywane do dotowania oszustw związanych z „zieloną energią". Niektórzy widzą w tym wręcz „rządowy plan kradzieży pieniędzy mający na celu obciążenie podatników za korzysta-

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 028b2d3545

nie z energii, której społeczeństwo desperacko potrzebuje do funkcjonowania". „Co szokujące, naszej planecie udało się regulować własną temperaturę przez cztery miliardy lat bez konsultacji z rządową komisją i głupimi politykami... Proszę, powiedzcie mi, w jaki sposób wypisanie czeku dla urzędu skarbowego ma zmienić prawa termodynamiki?" – pyta retorycznie influencer DomDansLeDome. W wątku „klimatycznym" na portalu X przewija się także mem, na którym widnieje były prezydent USA Barack Obama przemawiający na Szczycie Klimatycznym w 2014 roku. „Gdyby rzeczywiście wierzył, że lodowce się roztopią i podniosą poziom oceanów, nie byłby właścicielem dwóch nadmorskim posiadłości" – głosi napis pod zdjęciem.

Klimatyczny „future faking"

W USA otrzeźwienie w sprawie „zielonego oszustwa", jak określił politykę klimatyczną prezydent Donald Trump, przyszło wraz ze skupieniem się obywateli na realiach codziennego życia, problemach dotyczących służby zdrowia, mieszkalnictwa, rynku pracy i drożyzny. Kiedy doświadczana każdego dnia rzeczywistość coraz mocniej zaczęła „skrzeczeć", nie daje się jej już załatać opowieściami o przyszłym dobrobycie, jaki przyniesie „zielona energia". O tym, że tego rodzaju zabiegi to socjotechniczny „future faking" [kreślenie wizji świetlanej przyszłości i snucie wielkich planów, które nigdy nie zostaną zrealizowane, ponieważ mają na celu jedynie uzasadnienie konieczności ponoszenia doraźnych ofiar – przyp. red.], już 20 lat mówił śp. Kazimierz Grajcarek, były przewodniczący Sekretariatu Górnictwa i Energetyki NSZZ „Solidarność". – Walka z „globalnym ociepleniem" przypomina niegdysiejszą walkę o uniknięcie zaćmienia słońca. Władzę w tej kwestii uzurpował sobie faraon, a poddani mu byli zmuszani do składania kolejnych ofiar na jego rzecz, aby uniknąć w ten sposób rzekomej straszliwej katastrofy – mówił dwa lata temu w rozmowie z „Tygodnikiem Solidarność". – Czym innym jest wpływ człowieka na środowisko naturalne – tutaj rzecz jasna działania proekologiczne mają sens i są konieczne – czym innym jednak na klimat. A to na tym ostatnim skupiliśmy się najbardziej i temu podporządkowujemy wszystkie najważniejsze dziedziny ludzkiego życia – tłumaczył.

Już 15 lat temu Solidarność zorganizowała w Warszawie 80-tysięczną demonstrację pod hasłem „Polityka wasza – bieda nasza". Związkowcy rozdawali wówczas ulotki informujące o prowadzonej przez NSZZ „Solidarność" akcji „Stop światowej kampanii antywęglowej" informującej o bardzo niekorzystnych dla Polski skutkach wprowadzenia pakietu klimatyczno-energetycznego. Delegacja „S" wręczyła wówczas premierowi petycję, w której Związek domagał się m.in. zablokowania wprowadzania pakietu klimatyczno-energetycznego w obecnym kształcie, a następnie renegocjacji jego zapisów. Kazimierz Grajcarek i śp. prof. Jan Szyszko wskazywali na niebywałe nagonki na naukowców podważających „dogmat" o wpływie człowieka na globalne ocieplenie, sami zresztą tego doświadczając. Dochodziło do tego nie tylko w Polsce.

„Istnieje groźne oblicze karmienia się klimatyczną gorączką. Naukowcy odstępujący od panikarstwa doświadczyli zaniku dotacji, wyśmiewania ich pracy i zniesławienia ich epitetami, takimi jak «marionetki koncernów paliwowych», «naukowe płotki» etc. W konsekwencji kłamstwa o zmianie klimatu zyskują zaufanie nawet wówczas, kiedy daleko odbiegają od nauki,

eprasa.pl 028b2d3545

która przecież podobno ma stanowić dla tych teorii podstawę" – pisał już 20 lat temu na łamach „The Wall Street Journal" Richard Siegmund Lindzen, fizyk, profesor meteorologii w Massachusetts Institute of Technology, wykładowca na Harvardzie, autor prac o dynamice atmosfery i falach atmosferycznych.

Podobną opinię wyrażał Timothy Francis Ball, profesor na Wydziale Geografii Uniwersytetu w Winnipeg i autor książek na temat klimatu. Wskazywał, że naukowcy sceptyczni co do „dogmatu" o wpływie człowieka na globalne ocieplenie zeszli do podziemia dla „bezpieczeństwa posady i ze strachu przed odwetem. Nawet na uniwersytecie, gdzie wolność słowa i podważanie dominującej narracji jest podobno czymś pożądanym, naukowcy wolą milczeć" – pisał.

Profesor Zygmunt Kolenda z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, specjalista w zakresie matematycznego modelowania procesów wymiany ciepła i masy oraz termodynamiki procesów nieodwracalnych, wskazywał na łamach „Polityki", że współczesne techniki obliczeniowe są daleko niewystarczające do poprawnego przewidywania długoterminowych zmian klimatycznych. Podawał też w wątpliwość merytoryczne kwalifikacje IPCC [Intergovernmental Panel on Climate Change – Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatu – przyp. red.] jako ciała politycznego, a nie naukowego oraz nie zgadzał się z tezą o znacznej przewadze liczebnej naukowców popierających wnioski tej organizacji.

„Denializm klimatyczny"

Problem jednak w tym, że to właśnie ta organizacja, utworzona w 1988 na wniosek członków ONZ, uzurpuje sobie monopol w dziedzinie określania tego, co w kwestii klimatu można uznać za „naukowe i obiektywne", a co należy zwalczać jako przejaw „denializmu klimatycznego". Dobór określenia na wzór „kłamstwa oświęcimskiego" każe przypuszczać, że kolejnym krokiem będzie tegoż „denializmu" penalizacja. Co ciekawe, sama IPCC nie była tak radykalna w momencie swojego powstawania. Dojście do „naukowego konsensusu", że działalność człowieka jest w sumie wyłączną przyczyną globalnego ocieplenia, odbywało się „metodą salami".

Początkowo pisano jedynie, że „bilans dowodów sugeruje dostrzegalny wpływ człowieka na klimat", a po kilku latach już, że „jest prawdopodobne (w języku IPCC oznacza to prawdopodobieństwo powyżej 66%), że większość globalnego ocieplenia powodują gazy cieplarniane". Po upływie kolejnych kilku lat ponownie zmieniono wcześniejsze stanowisko, stwierdzając, że „jest bardzo prawdopodobne (czyli z prawdopodobieństwem powyżej 90%), że większość globalnego ocieplenia powodują gazy cieplarniane", aby po upływie następnych kilkudziesięciu miesięcy dojść do wniosku, że „jest niezwykle prawdopodobne (czyli z prawdopodobieństwem przekraczającym 95%), że człowiek wpłynął w sposób dominujący na obserwowane od połowy XX wieku ocieplenie".

Wreszcie stwierdzono już bez ogródek, że „jest bezdyskusyjne, że działalność człowieka ogrzała atmosferę, oceany i lądy, a zmiana klimatu to jedno z największych i najlepiej udokumentowanych zagrożeń globalnych". I tu pojawia się „paragraf 22", ponieważ naukowcy mający na ten temat odmienne zdanie i przedstawiający inne wyniki badań, są „kancelowani" i nie mogą liczyć na granty czy publikacje w „uznanych" pismach. Dzięki temu IPCC może pisać, że „jak wynika z ponad 99,9% recenzowanych publikacji naukowych na całym świecie, główną przyczyną kryzysu klimatycznego są emisje gazów cieplarnianych pochodzące z działalności człowieka".

POPARCIE DLA CELÓW KLIMATYCZNYCH OGRANICZYLI POTENTACI TECHNOLOGICZNI, TACY JAK MICROSOFT I META.

Coraz mocniej jednak rozjeżdżają się ideologia i zdrowy rozsądek, toteż co cwańsi wcześniejsi beneficjenci religii klimatyzmu zaczynają powoli grać na wielu fortepianach, dzięki czemu system zaczyna pękać. Z koalicji Net-Zero Banking Alliance (inicjatywa banków na rzecz klimatu) wycofali się tacy giganci, jak JPMorgan Chase, Goldman Sachs czy Bank of America, co doprowadziło do likwidacji tejże koalicji. Poparcie dla celów klimatycznych ograniczyli także potentaci technologiczni, tacy jak Microsoft i Meta. Ma to związek z polityką Donalda Trumpa kładącą nacisk na reindustrializację Stanów Zjednoczonych i oparcie energetyki na wydobyciu paliw kopalnych, ale także z globalnych otrzeźwieniem związanym ze zmęczeniem szaleństwami klimatyzmu. W końcu, jak mówił Abraham Lincoln: „Możesz oszukiwać wszystkich ludzi przez pewien czas, a niektórych ludzi przez cały czas, ale nie możesz oszukiwać wszystkich ludzi przez cały czas".

eprasa.pl 028b2d3545

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

Nie tylko romantyk

Jan Wróbel

Odrzucanie kompromisu podszytego demoralizacją jest charakterystycznym motywem myślenia romantyków. Uczymy się o nich w szkołach – szczególnie przed maturą – aż do przesytu. Dajemy się jednak nabrać. W tym sensie, że wcale nie trzeba być ukształtowanym przez Mickiewicza i Słowackiego, by działać w polityce jak romantyk. Już starożytni Grecy... Tukidydes (ojciec historyków) oświetla historię walecznych Melijczyków, których tożsamość zbudowało odrzucanie upokarzających i niesprawiedliwych traktatów. Wielki pisarz historii pokazywał na ich przykładzie, jak łatwo zabrnąć w ślepą uliczkę polityczną, mając rację moralną. Jak puentował kiedyś współczesny nam i fajnie piszący historyk Emil Antipow: „Efektem decyzji opartej na moralności jest to, że Melijczyków znamy dzisiaj jedynie z książek".

Historia trzech braci Horacjuszów, mających poświęcić życie dla dobra kraju, mogłaby być bez retuszu opowiedziana przez romantycznego wieszcza. Znamy ją z opisu słabszego od Tukidydesa, ale za to bardziej poczytnego rzymskiego historyka Liwiusza (w XVIII wieku poświęcił Horacjuszom doskonałe płótno francuski malarz Jacques-Louis David, tyle że jego kipiąca emocjami „Przysięga Horacjuszy" jest arcydziełem... akademickiego klasycyzmu, oczywiście przedromantycznego).

Koniec polskiego średniowiecza ozdabia bunt poddanych zakonu krzyżackiego, którzy zamiast układów z upadającym zakonem woleli bunt i, jak się okazało, wyniszczającą wojnę 13-letnią (na szczęście, dopowiedzmy, wygraną).

ROMANTYCZNA POSTAWA TO PO PROSTU INNA NAZWA POSTAWY WALECZNEJ, RYZYKOWNEJ I, OWSZEM, CZĘSTO NIEMĄDREJ.

„Romantyczne" były okoliczności zerwania amerykańskich kolonistów z potężną monarchia brytyjską (1776). Pod wpływem przekonania, że tyranii nie da się już wytrzymać, koloniści zaczęli nierówny bój z tyranią wyjątkowo jak na wiek XVIII tolerancyjną. Na początku niewiele wskazywało na możliwość wygranej powstańców (wygrali; w efekcie założono USA).

Zupełnie przedromantyczne powstanie kościuszkowskie startowało z minimalnymi widokami powodzenia, ale honor nakazywał zerwanie się do walki przeciwko wszystkim pogodzonym z przemocą. Może trzeba było położyć uszy po sobie i przeczekać zły los, jak próbował to zrobić król Stanisław August? Może, ale przywódcy insurekcji, „rozumni szałem" (jak przy innej okazji napisał o swoim już pokoleniu Adam Mickiewicz), uznali, że zgoda na drugi rozbiór Rzeczpospolitej zniszczy ducha polskiego. Zryw – przynajmniej na gruncie walki duchowej – będzie szczególnego rodzaju inwestycją w przyszłość. Dwóch liderów Nocy Listopadowej, owszem, to ludzie pióra i romantycy (Maurycy Mochnacki i Seweryn Goszczyński). Co do jej uczestników jest raczej pewne, że niespecjalnie wiele w dotychczasowym życiu przeczytali.

Romantyczna postawa to po prostu inna nazwa postawy walecznej, ryzykownej i, owszem, często niemądrej.

eprasa.pl 028b2d3545

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Jerzy Targalski, piszący pod pseudonimem Józef Darski, należał do najbardziej przenikliwych analityków przemian ustrojowych po 1989 roku. W opublikowanym w **„Tygodniku Solidarność” 14 stycznia 1994 roku tekście z numeru 3 (278)** bez złudzeń rozprawiał się zarówno z tezą o „powrocie komunizmu”, jak i z polityczną nieskutecznością obozu antykomunistycznego. Autor, ekspert ds. służb specjalnych i Europy Środkowo-Wschodniej, kreślił wizję rodzącego się postkomunistycznego układu władzy, łączącego mechanizmy państwa mafijnego z oligarchicznym modelem gospodarczym. Dziś przypominamy ten tekst z okazji 45-lecia „Tygodnika Solidarność”.

Kapitalizm w Europie Wschodniej budują dzisiaj komuniści

Jeżeli nie ONI, to kto?

Józef Darski

Tezę rekomunizacji Europy Wschodniej uważam za całkowicie fałszywą, gdyż zakłada, że komunizm powraca, a to oznaczałoby, iż może powrócić gospodarka planowa i władza monopartii.

Teza o powrocie komunistów do władzy politycznej nie jest prawdziwa choćby dlatego, że kapitalizm, chociaż w szczególnej formie, budowany jest w Europie Wschodniej z woli komunistów. Jeżeli nie my, to kto? Jeżeli nie teraz, to kiedy? (M. Gorbaczow, 1985 r.).

Orwell to przewidział

Rzeczywiście natomiast można mówić o rekomunikacji świadomości politycznej społeczeństwa. Jeśli będzie ona nadal postępować w dotychczasowym tempie, wkrótce w powszechnym odczuciu komunizm będzie odbierany jako ustrój moralny, a komuniści jako normalna partia polityczna i – już jako postkomuniści – będą mogli zająć najważniejsze miejsce w życiu politycznym, nie dzięki represjom, ale dzięki swej sile ekonomicznej i umiejętności manipulowania świadomością społeczeństwa. Spełni się więc orwellowska wizja kontrolowania przeszłości. Ceną będzie kompletne pomieszanie dobra i zła oraz utrata tradycyjnych wartości historycznych decydujących o tożsamości każdego narodu. W procesie przekształcenia komunizmu w postkomunizm brały udział i nadal są w nim obecne trzy siły polityczne.

Nowa klasa

Komuniści, zwłaszcza z tajnych służb, odrzucili ideologię i chcieli przeprowadzić na swą korzyść nie tylko prywatyzację własności państwowej, ale również pierwotną akumulację kapitału, używając do tego aparatu państwowego (chodzi o system podatkowy, bankowy, brak kontroli importu, eksportu i transferów finansowych). Klasyczną formą było finansowanie spółek nomenklaturowych w formie pożyczek bezzwrotnych udzielanych przez państwowe banki lub fundusze specjalne. W ten sposób komuniści przekształcili się w postkomunistów i chociaż z powodu walki politycznej posługują się nadal hasłami socjaldemokratycznymi i populistycznymi, w ich interesie leży tworzenie gospodarki rynkowej, o ile to możliwe, bez zabezpieczeń społecznych. Tu tkwią źródła doskonałego porozumienia między nimi a liberałami (jedynie gospodarcze). Ci, którzy nie potrafili przystosować się i zmienić w postkomunistów – chociaż mogą jeszcze, zwłaszcza w Rosji, na Białorusi, na Litwie, na Ukrainie,

eprasa.pl 028b2d3545

Młodzieżowa alternatywa
• Kiedy polityk zdradza? • ADM: ludzie z betonu
• Internowani w psychuszce • Rząd pogłębia dziurę

Tygodnik Solidarność

Program TVP 14.01-17.01

Nr 3 (278) Rok VI
14 stycznia 1994
ISSN 0208-8045 Indeks 379433
Cena 7000 zł

Czy Owsiak, ofiarując swe serce, nie straci głowy?

„Orkiestra" z „Titanica"

Worek oszczędności

ŚWIAT 9

Kapitalizm w Europie Wschodniej budują dzisiaj komuniści

Jeżeli nie ONI, to kto?

w Mołdawii, na Słowacji i w Rumunii, wywierać pewien wpływ na społeczeństwo – nie powrócą już do władzy, gdyż oprócz postkomunistów mają przeciwko sobie jeszcze dwie siły: centrystów i antykomunistów. Przekształcenie się części komunistów i postkomunistów nie było możliwe bez współdziałania rodzimej inteligencji i bez pomocy ze strony Zachodu, który uważał, iż po odrzuceniu ideologii będą mniej agresywni, a ich kraje staną się chłonnym rynkiem zbytu dla kapitalistycznej nadprodukcji.

Bunt konfidentów

Drugą siłę polityczną utworzyła partyjna inteligencja, eksperci instytutów naukowo-badawczych (np. instytutów stosunków międzynarodowych), pracujący na potrzeby partii i współdziałający z policją polityczną. Ta część „partii zewnętrznej", według klasycznego określenia Orwella, otrzymała od tajnych służb w okresie pieriestrojki zadanie stworzenia opinii publicznej poprzez zorganizowanie frontów ludowych, forum i innych sojuszów. W toku pieriestrojki wydarzenia przekroczyły jednak ramy pierwotnego scenariusza. Postkomuniści początkowo podzielili się władzą z przyszłą drugą siłą – partyjną lub byłą partyjną, ale bliską jej ideowo, inteligencją. Jednak weszli z nią w konflikt, ponieważ nie wyzbyli się marzeń reformistycznych o przemianie komunistów. Owa reformistyczna inteligencja, znajdująca się pod kontrolą lub współpracująca ze służbami specjalnymi, zbuntowała się jednak i sama uchwyciła stanowiska w oficjalnych strukturach władzy, pozostawiając postkomunistom głównie gospodarkę oraz służby specjalne i wojsko. Były pracownik Researchu Wolnej Europy, Wiktor Jacman, nazwał to zjawisko „buntem donosicieli" (tajnych współpracowników bezpieki).

> *Jeżeli nie my, to kto? Jeżeli nie teraz, to kiedy?*
>
> **M. GORBACZOW, 1985 r.**

Na tym polegał proces uzyskania autonomii przez tę partyjną inteligencję. Mimo że w niektórych państwach, jak np. w Polsce, nurt ten powstał raczej poprzez selekcję istniejącej już opozycji niż dzięki bezpośredniemu działaniu tajnych służb, zjawisko ma charakter powszechny dla wszystkich krajów postkomunistycznych. Partie polityczne, które wyłoniły się w wyniku tego procesu,

eprasa.pl 028b2d3545

nazywają się centrowe w Nadbałtyce i Bułgarii, liberalne w Czechach, demokratyczne w Polsce, na Ukrainie, Białorusi i w Rumunii. W istocie ich profil ideowy jest bez znaczenia, gdyż bardziej przypominają związki zawodowe funkcjonariuszy Historii. Dla wygody będę ich określał jako centrystów. Otóż, tychże centrystów nie można traktować tylko jako tajnych współpracowników byłych (?) komunistycznych tajnych służb, gdyż owa inteligencja stała się niezależną siłą polityczną i ma swe własne interesy polityczne i ekonomiczne.

Centryści nie przeciwstawiają się jednak formie transformacji zaproponowanej przez postkomunistów, a jedynie nie chcą, by ci ostatni zajęli stanowiska polityczne. Alternatywa: postkomuniści albo centryści, jest fałszywa przede wszystkim dlatego, że walczą oni między sobą jedynie o wpływ polityczny, o stanowiska i dostęp do kasy państwowej – prowadzą wojny o prawo grabienia in majestatis lege. Niewykluczone jednak, że rywalizacja i podział sfer wpływów między postkomunistami a centrystami jest zjawiskiem przejściowym. Adam Michnik wskazuje, iż alternatywą wobec ekstremistów i końca świata jest przezwyciężenie takiej polaryzacji i powstanie z obu grup nowej klasy średniej, która będzie stabilizowała demokrację (Bałkan Forum 1993), co można odczytać jako zachętę do trwałego, wspólnego sprawowania władzy. Nowy ustrój, lansowany przez postkomunistów i centrystów, nie ma nic wspólnego z neokomunizmem, ale pod zewnętrzną formą demokracji parlamentarnej stara się połączyć państwo mafijne (według włoskiego) z południowoamerykańskim systemem gospodarczo-społecznym i zapewnić władzę nowej uprzywilejowanej grupie, która wywodziłaby się z obu klas. W ustroju tym represje nie byłyby potrzebne. „Nieznani sprawcy” odgrywaliby rolę marginalną i interweniowaliby tylko w ostateczności, jak np. w wypadku zabójstwa w Bułgarii Svilena Kapsazowa, posła muzułmańskiego, który sprzeciwiał się zerwaniu przez agentów bezpieki, umieszczonych w ruchu tureckim, sojuszu z Unią Sił Demokratycznych i nawiązaniu go z postkomunistami, co umożliwiło obalenie rządu Filipa Dimitrowa. Teraz decydowałyby bodźce pozytywne, możliwości robienia kariery w zawodach inteligenckich, manipulacja i totalna propaganda. Władza polityczna i gospodarcza, pozycja w aparacie państwowym, telewizji i prasie gwarantowałyby kontrolę nad społeczeństwem.

PÓŹNIEJ BĘDZIE CZAS NA DEKOMUNIZACJĘ, LUSTRACJĘ I BUDOWĘ KAPITALIZMU DLA WSZYSTKICH.

CENĄ BĘDZIE KOMPLETNE POMIESZANIE DOBRA I ZŁA ORAZ UTRATA TRADYCYJNYCH WARTOŚCI HISTORYCZNYCH, DECYDUJĄCYCH O TOŻSAMOŚCI KAŻDEGO NARODU.

Antykomuniści

Trzecią siłą, która pojawiła się najpóźniej i jest najsłabsza, byli antykomuniści. W toku pieriestrojki odłączyli się od centrystów lub w ogóle mogli się skonsolidować dzięki toczącej się walce politycznej i samej pieriestrojce, gdyż wymagała osłabienia, a później zrezygnowania przez centrum z represji. Początkowo, oprócz Polski, gdzie proces ten miał miejsce o wiele wcześniej (1956–1968), wszystkie trzy siły występowały razem we frontach ludowych, forum obywatelskim, związkach demokratycznych itp. W pierwszym etapie nastąpił podział między postkomunistami a pozostałymi dwiema siłami (tylko w Rumunii na samym początku bez antykomunistów). W drugim etapie rozegrała się walka między centrystami a antykomunistami o kontrolę nad frontami. Tylko w Rumunii protagonistami byli postkomuniści i część starej nomenklatury, występujący pod hasłami narodowo-komunistycznymi, skupieni wokół Iliescu, oraz część postkomunistów młodego pokolenia i centryści, popierający byłego premiera Petre Romana. Zaburzenia w opisywanym schemacie w przypadku Rumunii wynikają z lokalnej odmiany scenariusza – zamach stanu przebrany w rewolucję zbrojną. Antykomuniści zwyciężyli w litewskim Sajudisie, bułgarskiej Unii Sił Demokratycznych, w mołdawskim Chrześcijańsko-Demokratycznym Froncie Ludowym, w czeskim Forum Obywatelskim i w dużym stopniu w białoruskim Froncie Ludowym oraz ukraińskim Ruchu. W tych przypadkach centryści zostali wyparci ze wspólnych frontów

eprasa.pl 028b2d3545

i zmuszeni do zorganizowania się poza nimi. W Estonii, na Łotwie, w Słowacji i w Polsce, gdzie ruch Komitetów Obywatelskich Solidarność w okresie wyborów 1980 roku grał tę samą rolę, co fronty i forum w pozostałych krajach, wyeliminowano antykomunistów. W Polsce zachowali oni wprawdzie przez pewien czas nazwę Komitetów Obywatelskich, lecz bez ich bazy członkowskiej. W Rumunii obozy Iliescu i Romana rozdzieliły się i utworzyły oddzielne fronty, a następnie odrębne partie polityczne. Na Węgrzech obie siły od początku pieriestrojki, po fiasku, jakim zakończyło się spotkanie w Lakitele, przedstawicieli trzech nurtów, organizowały się samodzielnie. Mimo pewnych sukcesów, odniesionych przez antykomunistów w całym bloku, jedynie w Czechach i w Estonii byli oni zdolni wygrać wybory i zdobyć tą drogą władzę na czas dłuższy, choć i tam koalicje zależne są od małych grup centrowych, które jednak odgrywają rolę trzeciorzędną (socjaldemokraci Marju Lauristin w Estonii i Ludowcy Józefa Luka w Czechach). W Polsce i w Bułgarii rządy antykomunistyczne zostały obalone, na Litwie przegrały, a na Węgrzech wkrótce przegrają wolne wybory. Pojawia się zatem pytanie: Dlaczego antykomuniści przegrali walkę o władzę w Europie Wschodniej, nawet wówczas, gdy mieli szansę na zwycięstwo? Mieli oni przeciwko sobie dwie siły, współzawodniczące wprawdzie między sobą o stanowiska polityczne, a jednoczące się w obronie wspólnych interesów i lojalne wobec moskiewskiego centrum. To jednak był element niezależny od polityki samych antykomunistów. Niektórzy byli ogarnięci szałem ambicji. Uważam, że antykomuniści przegrali, nawet gdy mogli wygrać, przede wszystkim z powodu własnej, błędnej strategii politycznej, i dlatego w pełni zasłużyli na swój los. Tylko do siebie mogą mieć pretensje. A przecież zwycięstwo antykomunistów w kilku kluczowych krajach strefy, a przede wszystkim w Polsce, spowodowałoby reakcje „domina" w pozostałych państwach postkomunistycznych i uczyniłoby zmiany nieodwracalnymi. Tak się nie stało.

Trzy błędy

Błąd pierwszy. Walkę polityczną przepojono ideologią, do czego doszło w Polsce, na Litwie, a obecnie ma miejsce w Mołdawii. W sytuacji zapaści gospodarczej wyborcy nie interesują hasła ideologiczne, ale pragmatyka. Błąd drugi. Posługiwanie się nacjonalizmem, jako instrumentem walki politycznej, co już doprowadziło do zwycięstwa postkomunistów na Litwie, wkrótce umożliwi zwycięstwo postkomunistów byłego premiera Nemetha i centrystów -liberałów na Węgrzech (nie należy ich mylić z młodymi liberałami). Prawdą jest, że w obu wypadkach rozwój nacjonalizmu był stymulowany od zewnątrz; na Litwie posłużono się Polakami (taka sytuacja może powtórzyć się na Białorusi), a nacjonalizm Węgrów rozbudzano dzięki polityce promoskiewskich rządów Rumunii, Słowacji i Serbii, ale bodźce te nie wystarczyłyby, gdyby politycy prawicowi nie zdecydowali się świadomie użyć nacjonalizmu jako narzędzia walki o głosy wyborcze i to instrumentu, który zastąpił cały program. Z kolei totalne odrzucanie aspiracji narodowych przez antykomunistów na Słowacji dało monopol narodowym centrystom i postkomunistom na ich reprezentowanie, umożliwiając im odniesienie druzgocącego zwycięstwa wyborczego. Błąd trzeci. Klerykalizm, najpełniej występujący w Polsce, ale mógł on odegrać istotną rolę w każdym kraju katolickim. W Polsce spowodował, że wyborcy odwrócili się od pozostającej w opozycji prawicy antykomunistycznej (dekomunizacyjnej), obawiając się, że będzie kontynuowała politykę centrowych katolików narodowych z ZChN. Prawica w Polsce starała się bowiem poszukiwać źródeł władzy raczej wśród biskupów niż w społeczeństwie i zapłaciła za to. Ponieważ zaś nie zrozumiała swego błędu, będzie coraz bardziej ulegać klerykalizacji i wraz z nią schodzić na margines, pozostawiając wolne pole dla centrystów i lewicy. Należy dodać, iż klerykalizm i religijność jedynie na pokaz są specyfiką polskiej prawicy i świadczą o jej zacofaniu w stosunku do ugrupowań prawicowych Europy Zachodniej. Przeciwstawić się dwóm pozostałym siłom, postkomunistom i centrystom, mogłaby w najbliższym czasie prawica nienacjonalistyczna i laicka (nie koncentrująca się na kwestiach religijnych). Z pewnością nie zagwarantuje to zwycięstwa wyborczego, ale może uczynić je możliwym. Później będzie czas na dekomunizację, lustrację i budowę kapitalizmu dla wszystkich.

ANTYKOMUNIŚCI PRZEGRALI, NAWET GDY MOGLI WYGRAĆ, PRZEDE WSZYSTKIM Z POWODU WŁASNEJ, BŁĘDNEJ STRATEGII POLITYCZNEJ I DLATEGO W PEŁNI ZASŁUŻYLI NA SWÓJ LOS.

eprasa.pl 028b2d3545

DRUGIE ŻYCIE

Polimerów Police

Historia Polimerów Police zaczęła się ponad dekadę temu w czasie drugiej kadencji rządów PO – PSL. Po wyborach Zjednoczona Prawica przejęła ten projekt i mocno go rozszerzyła. W 2025 roku doszło do **zatrzymania produkcji**, ale warta ponad 7 mld zł inwestycja ma zostać reanimowana i zyskać nie tylko drugie życie, ale też nową nazwę.

Marcin Krzeszowiec

W marcu 2015 roku Grupa Azoty ogłosiła, że zbuduje największą i najnowocześniejszą w Europie instalację do produkcji propylenu metodą PDH. Projekt miał zostać zrealizowany do 2019 roku, pochłonąć 1,7 miliarda złotych i stworzyć około 200 miejsc pracy, generując przy tym setki milionów zysków dla polickich zakładów chemicznych. Zapowiadano, że Polska zyska moce produkcyjne na poziomie 400 tys. ton propylenu rocznie, z czego 150 tys. ton przeznaczone będzie na własne potrzeby Grupy Azoty.

Fot. Wikipedia

Oprócz nowej instalacji do propylenu zaplanowano też budowę bloku energetycznego oraz rozbudowanie polickiego portu o terminal chemikaliów płynnych. Dzięki tej rozbudowie port miał również zyskać możliwość przyjmowania największych w Polsce statków przewożących LPG.

PO WYBORACH PARLAMENTARNYCH ZJEDNOCZONA PRAWICA NIE WYCOFAŁA SIĘ Z INWESTYCJI W POLICACH, A NAWET POSTANOWIŁA JĄ ROZSZERZYĆ W 2017 ROKU O INSTALACJĘ DO PRODUKCJI POLIPROPYLENU.

Decyzja o rozpoczęciu „największej inwestycji w historii Grupy Azoty" wynikała z rosnącego zapotrzebowania na propylen oraz prognozy, że w ciągu najbliższych kilku lat Europa stanie się jego importerem.

Ten bezbarwy gaz jest bardzo ważny dla gospodarki i stanowi obok etylenu najważniejszy surowiec dla przemysłu chemicznego. Bez propylenu nie można produkować tworzyw sztucznych, a te są obecne niemal wszędzie.

Propylen stanowi bazę dla polipropylenu i innych półproduktów, które są potem wykorzystywane do produkcji rozpuszczalników, farb akrylowych, części karoserii, zderzaków, rur, skrzyni, kontenerów, folii, wykładziny, opakowań leków, strzykawek jednorazowego użytku, plastikowych butelek PET, zabawek i tak dalej.

– Grupa Azoty stanie się ważnym europejskim eksporterem propylenu i ugruntuje swoją pozycję na zagranicznych rynkach. Zakładamy wielkość produkcji na poziomie ok. 400 tys. ton. Według naszych szacunków ok. 60 procent produkcji przeznaczone będzie na eksport lub będzie wykorzystane w kolejnych instalacjach. Pozostały wolumen będzie sprzedawany wewnątrz Grupy Azoty m.in. do zakładów w Kędzierzynie, pokrywając ich całkowite zapotrzebowania na propylen – mówił ówczesny prezes Grupy Azoty Police Krzysztof Jałosiński.

Ostatecznie we wrześniu 2015 roku powołano spółkę celową PDH Polska pod skrzydłami Grupy Azoty Police i pod taką nazwą przetrwała ona do października 2019 roku. Wtedy nazwa została zmieniona na Grupa Azoty Polyolefins.

Wybrano też dostawcę technologii, którym została amerykańska firma UOP.

Polimery Police

Po wyborach parlamentarnych przeprowadzonych w październiku 2015 roku stery objęła Zjednoczona Prawica. Nowa władza nie wycofała się jednak z inwestycji w Policach, a nawet postanowiła ją rozszerzyć w 2017 roku o instalację do produkcji polipropylenu – pochodnej propylenu. Dostawcą technologii dla drugiej instalacji została także amerykańska firma – Grace Technologies.

> ***Ten projekt był megalomanią poprzedniej władzy. Został stworzony w skali, która przerasta Grupę Azoty.***
>
> **ANDRZEJ DAWIDOWSKI, były prezes Grupy Azoty Police**

Umowę na kompleksową realizację projektu Polimery Police w formule „pod klucz" zawarto w maju 2019 roku. Na generalnego wykonawcę wybrano Hyundai Engineering.

Koreański koncern podjął się zadania zbudowania oraz zaprojektowania nowego kompleksu petrochemicznego i to w taki sposób, żeby kluczowe instalacje do produkcji propylenu i polipropylenu spełniały parametry wynikające z umów licencyjnych zawartych wcześniej z amerykańskimi dostawcami technologii.

Oszacowano, że całkowity budżet potrzebny na stworzenie Polimerów Police to około 1,5 miliarda euro. Komercyjny start instalacji zaplanowano na 2022 rok przy założeniach, że produkcja propylenu wyniesie 429 tys. ton, a polipropylenu 437 tys. ton rocznie. Dzięki temu Polska z importera miała stać się eksporterem polipropylenu.

Schemat projektu Polimery Police przedstawiał się następująco. Do terminalu gazowego w Policach przypływać miało statkami 500 tys. ton propanu oraz 13 tys. ton etylenu rocznie. Surowce miały być następnie wtłaczane do zbiorników, a z nich trafiać do instalacji, gdzie produkowany jest propylen i polipropylen. Następnie miały

eprasa.pl 028b2d3545

być składowane w zbiornikach magazynowych i silosach, a potem rozwożone do zakładów Grupy Azoty bądź trafiać z powrotem na statek i na eksport.

Żeby sfinansować projekt Polimery Police, Grupa Azoty Polyolefins zawarła Umowę Kredytów z konsorcjum instytucji finansowych w maju 2020 roku.

Start instalacji

Polimery Police powstały po przeszło trzech latach na terenie równym 71 boisk piłkarskich i kosztowały ponad 7,2 miliarda złotych. W uruchomieniu produkcji polipropylenu w czerwcu 2023 roku wzięli udział premier Mateusz Morawiecki oraz ambasador Korei Południowej.

– Polimery to wielka szansa inwestycyjna, której nie mogliśmy nie dostrzec. I cieszę się, rozmawiałem o tym wcześniej z prezesem Hincem, prezesem Grupy Azoty, że ta inwestycja wykonana została – jak mi powiedział – w założonym czasie i w założonym budżecie. To jest również ogromne osiągnięcie. Wielki szacunek dla wszystkich wykonawców. Tak zaawansowana technicznie, przemysłowo inwestycja wykonana we właściwym czasie – podkreślał premier Morawiecki.

Inwestycja, owszem, ruszyła, ale nie działała od razu pełną parą. Po upływie ponad roku Grupa Azoty Poleolefins podała w komunikacie, że produkcja jest sukcesywnie zwiększana i do 23 października 2024 roku wytworzono już łącznie 200 tys. ton polipropylenu w ramach testów parametrów gwarantowanych. To ponaddwukrotnie mniej niż docelowe 437 tys. ton, które instalacje miały osiągnąć przy pełnej sprawności.

Generalny wykonawca Hyundai Engineering niejednokrotnie występował do Grupy Azoty Polyolefins z wnioskiem o przedłużenie terminu zakończenia projektu – tak było w listopadzie 2023 roku czy w lutym 2024 roku. W tym drugim terminie koreańskie przedsiębiorstwo poprosiło też o dodatkowe pieniądze. Sytuacja powtórzyła się również we wrześniu 2024 roku.

POMIMO UTYSKIWANIA NA POPRZEDNIKÓW PROJEKT POLIMERY POLICE, W KTÓRY WPAKOWANO PRZESZŁO 7 MILIARDÓW ZŁOTYCH, BĘDZIE KONTYNUOWANY.

W PAŹDZIERNIKU 2025 ROKU ORLEN PO RAZ PIERWSZY ZŁOŻYŁ NIEWIĄŻĄCĄ OFERTĘ NABYCIA POLIMERÓW.

Polimery pod skrzydłami Orlenu

W końcu doszło do zatrzymania produkcji w Polimerach Police. Nastąpiło to w 2025 roku, a powodem miała być awaria instalacji propylenu.

Przejęciem polickiej inwestycji zainteresował się największy polski koncern paliwowo-energetyczny.

W październiku 2025 roku ORLEN po raz pierwszy złożył niewiążącą ofertę nabycia Polimerów. Z kontrofertą wystąpiła potem Grupa Azoty, proponując taką samą kwotę, czyli 1 miliard złotych.

W międzyczasie toczył się spór z generalnym wykonawcą Polimerów Police. I tak w sierpniu 2025 roku Grupa Azoty Polyolefins zdecydowała się odstąpić od umowy z maja 2019 roku na kompleksową realizację projektu Polimery Police z przyczyn obciążających wykonawcę, czyli Hyundai Engineering, i naliczyła firmie kary umowne. Niedługo potem Koreańczycy oświadczyli, że również odstępują od umowy.

Sprawa miała swój dalszy ciąg kilka miesięcy później. W grudniu 2025 roku koreański koncern złożył pozew przeciwko GA Polyolefins do centrum arbitrażowego w Wiedniu, a polska spółka odpowiedziała swoim pozwem.

– Konsekwentnie podtrzymujemy stanowisko, że Projekt Polimery Police nie został ukończony w wyznaczonym czasie i z przyczyn leżących po stronie wykonawcy, tj. Hyundai Engineering. Z tego powodu spółka poniosła ogromne straty finansowe – komentował prezes Grupy Azoty Andrzej Skolmowski.

Ostatecznie udało się zawrzeć ugodę z Hyundai Engineering, a obie strony wycofały swoje pozwy. Dzięki temu 31 marca 2026 roku Orlen zawarł z Grupą Azoty przedwstępną umowę na zakup wszystkich akcji GA Polyolefins za kwotę 1,183 miliarda złotych. Finalne przejęcie

eprasa.pl 028b2d3545

Polimerów przez Orlen ma nastąpić w trzecim kwartale 2026 roku.

Megalomania

Następnego dnia po zawarciu przedwstępnej umowy z Orlenem zorganizowano konferencję prasową, na której minister aktywów państwowych powiedział, że projekt Polyolefins od lat był obciążony konsekwencjami negatywnych decyzji „jak ta z 2015 roku dotycząca rozpoczęcia projektu, gdzie planowano nakłady rzędu 1,5–2 mld zł, a w praktyce wydano 7 mld zł, tworząc wokół tej inwestycji ogromne polityczne zamieszanie”. – Instalacja nigdy nie działała w sposób sprawny i efektywny, wymagała nieustających napraw, a my ponosiliśmy ogromne koszty, podczas gdy projekt nie mógł być realizowany – stwierdził Wojciech Balczun.

W podobne tony uderzył prezes Orlenu Ireneusz Fąfara, który wyraził opinię, że projekt Polimerów Police był „przeszacowany, źle wyceniony, źle przygotowany i źle prowadzony”. Mówił też, że zakup instalacji w Policach „winduje pozycję Orlenu w tej części świata”. – Dzięki niej staniemy się szóstym największym producentem polipropylenu w Europie – podkreślił.

Do tej krytyki warto też dołączyć słowa o megalomanii, które kilka miesięcy wcześniej wypowiedział w rozmowie z Interią były już prezes Grupy Azoty Police Andrzej Dawidowski: – Ten projekt był megalomanią poprzedniej władzy. Został stworzony w skali takiej, która przerasta Grupę Azoty, ale również przerasta możliwości oddziaływania tej inwestycji na rynek lokalny, rynek sprzedaży polipropylenu – ocenił Dawidowski.

Pomimo utyskiwania na poprzedników projekt Polimery Police, w który wpakowano przeszło 7 miliardów złotych, będzie kontynuowany. Rozłożenie go na łopatki byłoby niebywałym marnotrawstwem.

Fabryka ma ruszyć ponownie w 2027 roku, ale już pod inną nazwą, co też nie jest zaskoczeniem. Mieliśmy z tym do czynienia całkiem niedawno, gdy premier ogłosił zmianę nazwy Centralnego Portu Komunikacyjnego na „Port Polska”.

> ***Nie będziemy więcej używali nazwy, którą nasi poprzednicy zhańbili. Nie chcę, żeby te złe skojarzenia związane z inwestycją ciągnęły się za nami także w wymiarze symbolicznym.***
>
> **DONALD TUSK**
> **o zmianie nazwy CPK na „Port Polska”**

– Nie będziemy więcej używali nazwy, którą nasi poprzednicy zhańbili. Nie chcę, żeby te złe skojarzenia związane z inwestycją ciągnęły się za nami także w wymiarze symbolicznym – mówił Donald Tusk.

Dokładnie tak samo rządzący chcą postąpić z Izerą. Pierwszy polski samochód elektryczny będzie nosił inną nazwę, ale inwestycja w Jaworznie nie zostanie całkowicie zarzucona. Polski elektryk ma powstać we współpracy z tajwańskim koncernem Foxconn i zjechać z linii produkcyjnej w 2029 roku.

Rządzący nie zrezygnowali także z budowy głębokowodnego terminala kontenerowego w Świnoujściu zdolnego do przyjęcia i obsługi największych kontenerowców oceanicznych wchodzących na Bałtyk. Nowa koncepcja portu ma nosić nazwę „Przylądek Pomerania” i powstać do końca 2029 roku.

Inwestycja w Policach nie zostanie zatem wygaszona, ale musi przejść „niezwykle ważny” proces obrzucania się błotem, zmiany nazwy i ponownego otwarcia.

BÓG **MICHALSKI**

eprasa.pl 028b2d3545

Radzio banalista

Czy człowiek, który utożsamia się z europejskimi i niemieckimi elitami, a **gardzi** własnym krajem i narodem, może być dobrym ministrem spraw zagranicznych? Trudno to sobie wyobrazić. Przykład Radosława Sikorskiego pokazuje to wyjątkowo dobitnie.

Mariusz Staniszewski

Fot. Klaudia Radecka / Forum

Snobujący się na angielskiego dżentelmena i intelektualistę Radosław Sikorski właśnie obnażył swoje mało skomplikowane poglądy i kompletne niezrozumienie zjawisk zachodzących we współczesnej polityce. Szef polskiej dyplomacji opublikował książkę „Rozmowy rzymskie", która jest zapisem jego rozmów z dominikaninem o. Wojciechem Giertychem, stryjem Romana.

Poglądy o. Giertycha są mało istotne. To tylko tło do wynurzeń Sikorskiego, który jest możliwym kandydatem KO na prezydenta w wyborach za cztery lata. Zresztą i dziś jest on postacią istotną, gdyż jako wicepremier i minister spraw zagranicznych ma ogromny wpływ na pozycję Polski na arenie międzynarodowej.

Kulawa polska europejskość

Niemal każda opinia szefa dyplomacji na temat Polski i Polaków to mieszanina niesmaku, znudzenia, poczucia wyższości i ledwo co skrywanej pogardy.

O stosunku rodaków do Unii Europejskiej Sikorski pisze tak: „Polska proeuropejskość jest dość powierzchowna. Wiele osób opowiada się za Unią, dopóki w ich percepcji zgadza się bilans przelewów. Gdy pod koniec przyszłej dekady Polska stanie się płatnikiem netto, to wiele z tych osób się na Unię wypnie. Na początku Unii wszyscy członkowie byli płatnikami netto. Funkcjonowanie jednolitego rynku wymagało pilnowania pewnych standardów i utrzymania sądu rozjemczego, czyli Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej".

Z tego fragmentu wynika, że zdaniem Sikorskiego Polacy to takie chytre chłopy pańszczyźniane albo prymitywni geszefciarze, dla których liczy się tylko kasa. Jeśli jej zabraknie, to wówczas wypną się na Unię. Sikorski nie dostrzega, że współczesna UE oparta jest właśnie na tym, że silniejsi wysysają pieniądze ze słabszych. Szczególnie wyraźnie widać to w strefie euro,

eprasa.pl 028b2d3545

w której bogactwo płynie z krajów południowej części kontynentu do Niemiec, Holandii i Francji. Polacy to rozumieją, dlatego nabierają do Brukseli coraz większego dystansu. Twardo stąpają po ziemi, podczas gdy minister spraw zagranicznych, od którego wymagamy bronienia polskich interesów, obraca się w sferze nieaktualnych już idei.

Unia, o której pisze Radosław Sikorski, nie istnieje i właściwie nigdy nie istniała. Niemcy od początku postrzegali Wspólnotę jako drogę do umacniania dominującej pozycji swojego przemysłu. Przez dziesięciolecia projekt okazywał się zresztą dla nich sukcesem, ale właśnie teraz największa gospodarka UE dostała zadyszki. Jest zacofana i mało innowacyjna w porównaniu z USA czy krajami Dalekiego Wschodu. Dlatego ciągnie w dół całą Unię.

Niewdzięczni księża

Ale – zdaniem Radosława Sikorskiego – Polacy są nie tylko dusigroszami, lecz także nie rozumieją wzniosłości idei Unii Europejskiej. Nie dostrzegają jej bez mała świętości.

Szef polskiej dyplomacji czy może raczej w tym kontekście bardziej odpowiednie będzie stwierdzenie – pan na Chobielinie – jest jednak skłonny oświecić tę ciemnotę.

Tak wygląda dialog dwóch myślicieli:

„**Radosław Sikorski**: – Człowiek, który wysunął ideę jedności europejskiej i w praktyce stworzył podwaliny pod Unię Europejską, może zostać wyniesiony na ołtarze. W tym samym czasie polscy księża są wobec Unii co najmniej podejrzliwi, a niektórzy nawet agresywni. Pieniądze od Unii im nie śmierdzą, chętnie sięgają po nie na rozmaite remonty, ale w ich wypowiedziach słychać strach i pogardę.

Wojciech Giertych: – Takie postawy mają głębsze korzenie. Wynikają z niedostrzegania wartości etycznej ładu społeczno-politycznego, który Unia Europejska gwarantuje".

Radosławowi Sikorskiemu chodzi o Roberta Schumana, którego proces beatyfikacyjny rozpoczął się w 1990 r. Francuski polityk był rzeczywiście osobą głęboko wierzącą i prawie codziennie uczestniczył we Mszy Świętej. Jego wizja zjednoczonej Europy miała się opierać na wartościach i etyce chrześcijańskiej. Tyle tylko że po tamtej idei nie ma już śladu.

Unijne organy naciskają na Polskę, by liberalizowała prawo aborcyjne i legalizowała związki jednopłciowe. Religia jest rugowana ze szkół, a naukę Kościoła zastępuje agresywna wersja neomarksizmu, który relatywizuje wszystko – od istnienia płci, po własność prywatną i samostanowienie narodów.

Sikorski znów pokazuje, jak bardzo się oderwał od rzeczywistości. Jego opinie są zestawem łgarstw lub skrajnej ignorancji. Niezależnie od tego, z jakiego powodu wypisuje tak dalekie od prawdy tezy, dyskredytują go one jako polityka.

> ZDANIEM RADOSŁAWA SIKORSKIEGO POLACY SĄ NIE TYLKO DUSIGROSZAMI, LECZ TAKŻE NIE ROZUMIEJĄ WZNIOSŁOŚCI IDEI UNII EUROPEJSKIEJ. NIE DOSTRZEGAJĄ JEJ BEZ MAŁA ŚWIĘTOŚCI.

Siedlisko zła i zepsucia

Kościół katolicki zajmuje zresztą znacznie więcej uwagi wicepremiera. Jego refleksje jednak nie wykraczają poza prymitywny przekaz TVN czy „Gazety Wyborczej". Choć właściwie można by je nawet porównać do komunistycznej propagandy w wersji wyjątkowo ohydnej.

„**R.S.**: – Czy Kościół nie jest aby miejscem, w którym ludzie zaburzeni seksualnie odnajdują bezpieczne ukrycie? Odnoszę wrażenie, że pedofilów w sutannach jest nieproporcjonalnie więcej niż w innych grupach społecznych".

To oczywiste, głęboko ugruntowane w środowiskach lewicowo-liberalnych kłamstwo. Z danych z 2019 roku wynika, że z 877 osób skazanych za pedofilię 2 to katoliccy księża, a 1 to zakonnik.

Lewicowe media zmanipulowały zresztą wyniki prac Państwowej Komisji ds. Pedofilii, która bada takie przestępstwa w różnych środowiskach. Z raportu Komisji wynika, że w 121 sprawach pedofilii sprawcami były osoby niespokrewnione z ofiarami, a w 106 przypadkach – spokrewnione. W raporcie wymieniono m.in.: nauczycieli, wychowawców i opiekunów (9 spraw), trenerów sportowych (6 spraw), lekarzy (2 sprawy), duchownych (57 spraw), przedstawicieli innych związków wyznaniowych (5 spraw), partnerów rodzica (17 spraw), znajomych rodziny (6 spraw) i sąsiadów (19 spraw).

Nie wynika z tego jednak, że tych 57 spraw to przypadki krzywdzenia dzieci, jak ogłosił choćby antyklerykalny „Newsweek". W tej liczbie spraw mieszczą się także

eprasa.pl 028b2d3545

przypadki ukrywania sprawców. Ponadto raport opisywał jedynie przypadki, które trafiły do Komisji, a nie całe zjawisko w Polsce. Ogólne dane wskazują, że księża są sprawcami około 1 proc. przestępstw pedofilskich.

Dla Sikorskiego bycie światowym nie oznacza pojmowania mechanizmów rządzących polityką i wyciągania z tego wniosków dla swojego kraju. Ego każe mu sądzić, iż ważniejszy jest blichtr i opinie ludzi z zagranicy.

SZEF POLSKIEJ DYPLOMACJI NAJBARDZIEJ CHYBA JEDNAK GARDZI POLSKĄ TRADYCJĄ NARODOWĄ – TYM, JAK PATRZYMY NA SAMYCH SIEBIE, ORAZ TYM, JAK POSTRZEGAMY SWOJĄ HISTORIĘ.

Informacje te są powszechnie dostępne, wystarczy więc zajrzeć do internetu, by nie wygadywać takich bredni jak wicepremier.

Zaściankowy Kaczyński

Opinie Sikorskiego to mieszanina kompleksów i rozdętego ego. Polityk nie może się pogodzić, że nie został kandydatem na prezydenta, a prawybory przegrał z Bronisławem Komorowskim i Rafałem Trzaskowskim. Odreagowuje te emocje na Jarosławie Kaczyńskim.

„**R.S.**: – Albo urzędujący przy Nowogrodzkiej polityk, który nigdy nie mieszkał za granicą ani nawet nie przeczytał żadnej gazety w obcym języku, więc ma mgliste pojęcie o tym, jak reszta Europy wygląda, jakimi kieruje się zasadami, jak postrzega Polskę”.

Cóż, Sikorski, choć na zdjęciach z Chobielina prezentuje bogatą bibliotekę, może nie zdawać sobie sprawy, że wiedza i rozumienie świata biorą się głównie z książek. Dzięki nim dowiadujemy się, co myśleli i myślą ludzie w innych częściach świata. Podróże kształcą, ale przecież wielu wybitnych myślicieli nie ruszyło się nawet za opłotki swojego miasta.

Tymczasem prawdziwi światowcy nie przejmują się, co mówią o nich inni, bo raczej kształtują ich punkt widzenia.

Pieprzyć Mickiewicza i Sienkiewicza

Szef polskiej dyplomacji najbardziej chyba jednak gardzi polską tradycją narodową – tym, jak patrzymy na samych siebie, oraz tym, jak postrzegamy swoją historię.

„**R.S.**: – Wracając do Sienkiewicza i polskości... Nauczył on kilka pokoleń Polaków nieroztropnej wersji patriotyzmu, obecnej już wcześniej u Mickiewicza. Obaj pisali barwnie i wciągająco, ale też bezkrytycznie. Polacy zakochali się w tych własnych portretach literackich. Moje osobiste zdanie jest takie, że każde nasze powstanie narodowe było gorsze od poprzedniego. Kościuszkowskie było fatalne, ale Kościuszko miał przynajmniej armię i jakieś szanse na zwycięstwo. Okazało się błędem, bo siedząc cicho, pewnie doczekalibyśmy Napoleona i uratowalibyśmy państwo.

Listopadowe było hucpą młokosów, którzy wyobrażali sobie, że wygrają z Rosją bez żadnych sojuszy, i zaczęli mordować generałów uznających to za niedopuszczalną ruchawkę i nieodpowiedzialność. W ramach represji popowstaniowych zlikwidowano Uniwersytet w Wilnie, który spełniał funkcję kuratorium nad szkołami polskimi na Kresach. Potem doszło do likwidacji unii brzeskiej i w wyniku powstania listopadowego straciliśmy polskie siły na Kresach, ale też doczekaliśmy się wywózek na Sybir. Do czasu powstania listopadowego istniał sejm, działało wojsko.

Uniwersytet Warszawski powstał w Królestwie Kongresowym aktem cara Aleksandra. Na Kresach działały polskie instytucje, które po powstaniu zostały zlikwidowane”.

LOGIKA OBECNEGO MINISTRA SPRAW ZAGRANICZNYCH: TRZEBA SIĘ WKRAŚĆ W ŁASKI MOŻNYCH TEGO ŚWIATA. NAWET ZA CENĘ WŁASNEJ GODNOŚCI I WOLNOŚCI.

Innymi słowy – precz z tradycją powstańczą, bo za cara dało się jakoś żyć. Lojalnym wobec samodzierżawcy zresztą nawet całkiem nieźle. I to oddaje logikę obecnego ministra spraw zagranicznych: trzeba się wkraść w łaski możnych tego świata. Nawet za cenę własnej godności i wolności. O to przecież walczyli powstańcy.

eprasa.pl 028b2d3545

POD PATRONATEM „TS”

Finał konkursu „Bezpieczny krok z BHP do górnictwa”

28 maja 2026 r. w siedzibie Okręgowego Inspektoratu Pracy w Katowicach odbył się finał konkursu z zakresu bezpieczeństwa i higieny pracy dla uczniów szkół ponadpodstawowych kształcących się w zawodach górniczych pn. „Bezpieczny krok z BHP do górnictwa”. Organizatorem wydarzenia był Okręgowy Inspektorat Pracy w Katowicach oraz Wyższy Urząd Górniczy w Katowicach.

Fot. Okręgowy Inspektorat Pracy w Katowicach (4)

W TEGOROCZNEJ EDYCJI UDZIAŁ WZIĘŁO 15 UCZNIÓW Z 5 SZKÓŁ ponadpodstawowych z terenu województwa śląskiego, realizujących kształcenie w zawodach związanych z sektorem górnictwa. Celem konkursu było upowszechnianie wiedzy w zakresie prawnej ochrony pracy, w tym przepisów bezpieczeństwa i higieny pracy w górnictwie, a także kształtowanie świadomości zagrożeń zawodowych.

Konkurs obejmował dwa etapy testowe przygotowane przez organizatorów. Pierwszy z nich dotyczył zagadnień z zakresu prawa pracy, technicznego bezpieczeństwa pracy oraz zadań Państwowej Inspekcji Pracy. Drugi etap obejmował tematykę kompetencji Wyższego Urzędu Górniczego oraz regulacji w zakresie bezpieczeństwa i higieny pracy w górnictwie. Udział w konkursie wymagał od uczestników wykazania się znajomością obowiązujących regulacji prawnych, procedur bezpieczeństwa, zasad postępowania w sytuacjach zagrożenia oraz identyfikacji ryzyk zawodowych występujących w środowisku pracy górniczej.

Zwycięzcą konkursu został Szymon Michalczyk z Zespołu Szkół Zawodowych nr 2 w Knurowie. Drugie miejsce zajął Łukasz Murański z Zespołu Szkół w Czerwionce-Leszczynach, natomiast trzecie miejsce zdobył Szymon Rużycki z Powiatowego Centrum Kształcenia Zawodowego i Ustawicznego w Wodzisławiu Śląskim.

W klasyfikacji zespołowej szkół pierwsze miejsce zajął Zespół Szkół Zawodowych Nr 2 w Knurowie. Laureaci konkursu oraz szkoła, która uzyskała najwyższą liczbę punktów w klasyfikacji zespołowej, otrzymali nagrody ufundowane przez organizatorów.

Podczas podsumowania wydarzenia okręgowy inspektor pracy w Katowicach Piotr Kalbron zaakcentował konieczność kształtowania świadomości w zakresie bezpieczeństwa pracy już na etapie edukacji zawodowej, podkreślając, że prawidłowe stosowanie obowiązujących przepisów pozostaje nierozerwalnie związane z odpowiedzialnością za życie i zdrowie własne oraz innych osób wykonujących pracę.

Okręgowy Inspektorat Pracy w Katowicach

eprasa.pl 028b2d3545

Armia doborowa i... poborowa!

Powrót do poboru wojskowego to w Polsce wciąż temat tabu. Choć w ostatnich latach kwestia ta kilkukrotnie stawała w debacie publicznej, nic się w tej sprawie realnie nie dzieje. Tymczasem kompleksowe przygotowanie do obrony powszechnej jest niezbędne, a jego elementem powinien być powrót **powszechnych i obowiązkowych** szkoleń wojskowych. To również wnioski płynące z wojny, która toczy się tuż za naszą granicą.

Fot. Adobe Stock

Stanisław Żaryn

Cztery lata po wybuchu pełnoskalowa wojna Rosji przeciwko Ukrainie stanowi punkt odniesienia dla wielu ekspertów, debaty publicznej, a także decydentów. Atak na Ukrainę, sposób prowadzenia wojny, zmiany w taktyce i wyposażeniu, modernizacja pola walki, totalny charakter wojny napastniczej i obrony, rozszerzenie wojny na wszystkie obszary życia społeczno-państwowego – pozwalają nam na wyciąganie wniosków oraz naukę, jak dziś wygląda prowadzenie działań zbrojnych przez Rosję. Wiele osób na podstawie tych obserwacji wyciąga daleko idące wnioski, sugerując choćby, że armie NATO-wskie i każdy kraj zagrożony przez Rosję powinien stawiać na dronizację pola walki. Wiele innych podpowiedzi jest formułowanych na podstawie obrazu działań wojennych. Jedną z nich, choć dziś mniej powtarzanych, jest sprawa potencjału mobilizacyjnego. Przez wiele miesięcy Ukraina miała z tym problem. Niektórzy eksperci krytykowali władze w Kijowie, że nie wystarczająco zadbały o zasoby ludzkie, a kolejne fazy poboru wojskowego i mobilizacji były ogłaszane zbyt opieszale. Na szczęście także Rosja miała z tym poważne kłopoty – Kreml z uwagi na obawy przed skutkami społeczno-politycznymi wstrzymywał się z ogłaszaniem mobilizacji. Bał się wybuchu społecznego buntu i niepokojów wśród liczących się w Rosji środowisk. Niektórzy eksperci zastanawiali się wiele razy, czy czynnik demograficzny nie będzie miał kluczowego wpływu na losy tej wojny. W sposób oczywisty bowiem zasoby ludzkie są krytycznie ważne – zawsze tak było i zapewne będzie. Rosja prowadzi wojnę o charakterze totalnym. Rosja chciała szybkiej wojny i przejęcia władzy nad Ukrainą. Ale agresja nie poszła po jej myśli, więc wojna przekształciła się w wojnę na wyniszczenie, wojnę o zdolność utrzymania potencjału wojennego, wojnę na przeciągnięcie przeciwnika. W ta-

eprasa.pl 028b2d3545

kiej wojnie możliwości mobilizacyjne i tzw. czynnik ludzki mają ogromne znacznie, i to pomimo modernizacji technologicznej armii.

Statystyka tej wojny świadczy dobitnie, że mamy do czynienia z wojną o charakterze masowym. Atak zbrojny Rosji na Ukrainę trwa już dwanaście lat, w tym zawierają się cztery lata pełnoskalowej inwazji. Do dziś działania wojenne prowadzi około (tu szacunki są różne) 700 tysięcy żołnierzy rosyjskich, którzy służą na froncie i w zabezpieczeniu działań wojennych. Ukraina ma pod bronią więcej ludzi, szacuje się, że około 850 tysięcy żołnierzy prowadzi działania obronne. Wojna ma charakter wojny totalnej nie tylko dlatego, że codziennością są ataki na cele cywilne czy próby zastraszenia społeczeństwa i zniszczenia narodu – obie armie są armiami dużymi, które wymagają bardzo dużego potencjału poborowego. Im dłuższa wojna, im bardziej jest walką o wyniszczenie – tym mocniej potencjał mobilizacyjny będzie wpływał na rozstrzygnięcie konfliktu zbrojnego. Świadomość znaczenia tego czynnika widać w Rosji, która już jakiś czas temu uruchomiła mechanizmy działań propagandowych mające zachęcać społeczeństwo do armii. Kreml tłumaczy Rosjanom, że wojna to element „dziejowej misji" Rosji, a nawet, że śmierć na froncie jest drogą do nieba (!). Rosjanie przy wykorzystaniu Cerkwi budują wręcz własny dżihad. Przekaz metafizyczny jest ważny, by tłumaczyć i budować uzasadnienie dla realnych działań werbunkowych. Rosja mami społeczeństwo zachętami, ale i używa gróźb oraz przymusu. Specjalne świadczenia dla wojskowych, przymuszanie mieszkańców mniejszych wiosek, członków mniejszości etnicznych i religijnych, przymusowe wcielanie cudzoziemców, masowy werbunek w więzieniach – widać w rosyjskiej polityce całe spektrum nacisków psychologicznych i manipulacji, by wojsko miało kim zasilać front.

Rosyjska napaść na Ukrainę przypomina, że działania wojenne angażujące latami całe państwa i narody to nie kwestia historii. To dzieje się teraz, i to zaraz za naszymi granicami. A skoro Rosja stanowi obecnie największe zagrożenie dla Polski – i to zagrożenie na lata, w sposób oczywisty nakazuje to stawiać pytanie o polskie zdolności obronne oraz potencjał mobilizacyjny. Zgodnie z ostatnimi danymi w Polsce służy obecnie ponad 217 tysięcy żołnierzy, z czego niemal 75 procent to armia zawodowa. Siły Zbrojne RP są wciąż rozbudowywane – obecny cel rozwojowy to 300-tysięczna armia złożona z żołnierzy zawodowych oraz obrony terytorialnej – w 2030 roku mamy mieć już 500 tysięcy żołnierzy, z czego 300 tysięcy zawodowych wojskowych. Obecnie Polska ma jedną z najsilniejszych armii lądowych NATO, a dzięki modernizacji prowadzonej w bardzo szybkim tempie po 2022 roku mamy jeden z najsilniejszych potencjałów militarnych w Europie. W Polsce problemami są: brak wystarczająco dużej rezerwy i kolejne roczniki Polaków, którzy nie znają wojska choćby powierzchownie.

W POLSCE PROBLEMAMI SĄ: BRAK WYSTARCZAJĄCO DUŻEJ REZERWY I KOLEJNE ROCZNIKI POLAKÓW, KTÓRZY NIE ZNAJĄ WOJSKA CHOĆBY POWIERZCHOWNIE.

DECYZJE O REZYGNACJI Z POBORU ODKŁADAJĄ SIĘ NA MOŻLIWOŚCIACH MOBILIZACYJNYCH RP.

Na początku 2010 roku Polska zakończyła faktycznie obowiązkowy pobór. Zmiany legislacyjne przyjęte w czasie rządów PO – PSL doprowadziły do przejścia polskiego wojska na pełne zawodowstwo. Decyzja była podejmowana w atmosferze ogólnoeuropejskiego przekonania, że wojna odeszła w przeszłość, a zagrożenia dla Europy nie będą tak krytyczne w kolejnych latach. Decyzja politycznie łatwa i niemal nieodwracalna (z uwagi na wizerunkowe koszty powrotu do poboru) wytworzyła bardzo poważną lukę bezpieczeństwa, która z dzisiejszej perspektywy jawi się jako poważna słabość państwa polskiego. W ostatnich latach poboru w Polsce do armii na przymusowe szkolenia trafiało około 50 tysięcy młodych osób rocznie. Mieli kontakt z podstawowymi szkoleniami wojskowymi, zapoznawali się z obsługą broni, musztrą, podstawami taktyki

eprasa.pl 028b2d3545

czy terenoznawstwa. Mieli szkolenia z pierwszej pomocy, regulaminów wojskowych itd. Dla wielu młodych ludzi był to pierwszy i jedyny kontakt z tematyką wojskową, praktycznym użyciem broni czy wizytą na poligonie. Szkolenia wojskowe wywoływały wiele emocji i także wiele uwag krytycznych. Programy szkolenia dla armii poborowej były oceniane jako anachroniczne i nieprzystające do wymagań współczesnej wojny. Należało je jednak poprawiać i modernizować, a nie likwidować cały system. Decyzje o rezygnacji z poboru odkładają się bowiem na możliwościach mobilizacyjnych RP.

W związku z opisywanymi zmianami prawnymi w Polsce w ostatnich 16 latach nie było ani jednego rocznika, który przeszedł w sposób tak powszechny jak wcześniej jakiekolwiek szkolenia wojskowe. Choć podejmowano próby budowy systemu zachęt i szkoleń dobrowolnych, w tym dokonano ogromnego sukcesu związanego z Wojskami Obrony Terytorialnej, ostatni powszechny pobór odbył się 16 lat temu, a kolejne roczniki 19-, 20-latków nie mają doświadczenia związanego ze służbą wojskową – nie mieli kontaktu z bronią, szkoleń taktycznych, z pierwszej pomocy czy kontaktu z obronnością. Rzutuje to na potencjał państwa polskiego w zakresie mobilizacji oraz odporności. System szkoleń wojskowych o charakterze powszechnym zapewnia bowiem nie tylko ludzi mających podstawowe doświadczenia związane z wojskiem, jest również okazją do kształcenia postaw, wzorców zachowania oraz poczucia odpowiedzialności za bezpieczeństwo państwa. Widać to w krajach, które zachowały obowiązkowy charakter szkoleń wojskowych – wyszkolenie wojskowe idzie w parze z kształtowaniem poczucia odpowiedzialności za kraj.

Unowocześnienie oferty edukacyjnej realizowanej w ramach powszechnego i obowiązkowego szkolenia wojskowego dałoby szanse państwu na zbudowanie systemu kursów wojskowych. Byłoby jednak także naturalną okazją do wprowadzenia dodatkowych programów nauczania, które pozwoliłyby wzmocnić odporność państwa. W tą stronę należało zmieniać system edukacji. Powszechne szkolenia są doskonałą okazją do prowadzenia kursów z zakresu społecznej odporności, pozamilitarnych systemów obrony, zarządzania kryzysowego, zwalczania dezinformacji i zagrożeń hybrydowych. Okazję do tego tracimy w związku z brakiem poboru. Tracimy również zdolności tych, których już przeszkoliliśmy. W związku z dużą luką pokoleniową, a także modernizacją Wojska Polskiego nawet ci, którzy byli szkoleni w ramach armii poborowej, dziś są nieprzydatni. Ostatnie 16 lat to gigantyczny skok technologiczny, a procesy te przyspieszają. W związku z tym starsze roczniki, które na szkolenia jeszcze się załapały, nie będą tak mocno przydatne – ich wiedza i doświadczenia dotyczą sprzętu i broni już niemal archiwalnej. Oznacza to, że luka mobilizacyjna jest większa, niż wynikałoby to jedynie z kalendarza.

PRZYMUSOWY CHARAKTER EDUKACJI WOJSKOWEJ WYDAJE SIĘ PASOWAĆ DO WYZWAŃ, PRZED KTÓRYMI STOI DZIŚ NIE TYLKO POLSKA, ALE CAŁA WSCHODNIA FLANKA NATO.

Powyższe rozważania wskazują na potrzebę rozpoczęcia realnej debaty na temat modelu armii. Wojsko Polskie musi być rozbudowywane i rosnąć w siłę. Jednak pozostawienie armii jedynie w rękach zawodowych żołnierzy wydaje się błędną decyzją. Powszechny, przymusowy pobór wojskowy da pozytywne skutki, które wykraczają poza rozbudowę Wojska Polskiego według obecnego założenia. Przymusowy charakter edukacji wojskowej wydaje się pasować do wyzwań, przed którymi stoi dziś nie tylko Polska, ale cała wschodnia flanka NATO. W Sojuszu kwestia obowiązkowej służby wojskowej jest zresztą żywa. Aż 9 krajów utrzymuje ten rodzaj służby. Litwa, Łotwa, Estonia, Finlandia, Szwecja, Dania, Norwegia, Chorwacja, Grecja, Turcja stawiają na ten typ szkolenia obywateli. Niektóre państwa przywróciły obowiązek po ataku Rosji na Ukrainę. Polska – największy i najsilniejszy kraj wschodniej flanki NATO – jest jedynym państwem regionu bez obowiązkowych szkoleń wojskowych. Tym mocniej więc należy apelować o poważną debatę na ten temat i postawienie niepopularnego, ale ważnego, postulatu przywrócenia obowiązkowej służby wojskowej. To byłby silny sygnał dla wrogów Polski, że społeczeństwo jest świadome zagrożeń i szykuje się na powszechną, totalną obronę. W dzisiejszych czasach to sygnał mający silny walor odstraszający. Potencjalny agresor odczyta to jako zwiększenie kosztów politycznych agresji przeciwko Polsce. Ma to więc charakter realnego wzmocnienia obronności i odstraszania.

eprasa.pl 028b2d3545

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Tadeusz Płużański

Emil Barchański – najmłodsza ofiara junty Jaruzelskiego

3 czerwca 1982 r. w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach nad Wisłą zaginął 17-letni Emil Barchański, uczeń Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Reja w Warszawie. Dwa dni później jego ciało wyłowiono z rzeki.

Barchański, urodzony 6 czerwca 1965 r. w Warszawie, w działalność antykomunistyczną zaangażował się już w 1981 r., jako szesnastolatek. Razem z kolegą szkolnym z Reja Leszkiem Czajkowskim wydawał pismo satyryczne „Kabel" oraz prowadził szkolny kabaret „Wywrotowiec".

Po wprowadzeniu przez komunistyczny reżim Jaruzelskiego 13 grudnia 1981 r. stanu wojennego młody Emil został członkiem Konfederacji Młodzieży Polskiej „Piłsudczycy". 10 lutego 1982 r. wraz z kolegami wziął udział w akcji „Cokół", której celem było oblanie farbą i podpalenie jednego z okupacyjnych, sowieckich pomników zainstalowanych w Warszawie – monumentu twórcy bolszewickiego terroru – Feliksa Dzierżyńskiego.

Historyk Patryk Pleskot tak to opisał: „Chłopcy cisnęli w górę, ku sylwetce Dzierżyńskiego, szklane butelki po napoju „Ptyś" wypełnione benzyną. [...] Dzierżyński stanął w ogniu. Oniemiali przechodnie zatrzymali się w zdumieniu, podobnie jak pojazdy na ulicy. Mając za plecami barwną łunę, spiskowcy rzucili się do ucieczki i rozproszyli".

3 marca 1982 r. Emila Barchańskiego, drukującego w lokalu przy ul. Targowej na stołecznej Pradze pisma drugiego obiegu, aresztowała na gorącym uczynku bezpieka. Podczas przesłuchania nastolatek był torturowany. Funkcjonariusze wybili z niego udział w akcji podpalenia pomnika Dzierżyńskiego.

17 marca 1982 r. sąd dla nieletnich skazał Barchańskiego na dwa lata pozbawienia wolności w zawieszeniu oraz dozór kuratora sądowego. W maju 1982 r. podczas procesu kolegów z organizacji – Tomasza Sokolewicza i Marka Marciniaka – odwołał swoje wcześniejsze zeznania, publicznie ujawniając, że zostały na nim wymuszone torturami przez Służbę Bezpieczeństwa. To musiało rozsierdzić komunistyczny aparat. A jeszcze bardziej fakt, że Barchański zadeklarował, iż podczas kolejnego posiedzenia sądu może zidentyfikować przesłuchujących go funkcjonariuszy. W ten sposób młody chłopak podpisał na siebie wyrok śmierci.

Na efekty działania komunistycznych siepaczy nie trzeba było długo czekać. 3 czerwca 1982 r. młody Emil zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Dwa dni później jego ciało zostało wyłowione z Wisły. Wiadomo jednak, że od dzieciństwa czuł lęk przed zimną wodą z powodu astmy oskrzelowej. Prowadzone przez komunistyczne służby dochodzenie nie dało, bo dać nie mogło, odpowiedzi na pytanie, jak doszło do śmierci nastoletniego antykomunisty. Totalitarny reżim krył swoich bandytów.

Współcześnie śledztwo w sprawie śmierci Emila Barchańskiego prowadził pion śledczy Instytutu Pamięci Narodowej. Mimo że wszystkie tropy prowadziły i prowadzą do komunistycznej bezpieki jako sprawcy zbrodni, do dziś nie sformułowano takich wniosków. Także nazwiska konkretnych funkcjonariuszy – morderców nie zostały ujawnione.

eprasa.pl 028b2d3545

Kraków po pierwszej bitwie

Aleksander Miszalski podczas konferencji prasowej – pierwszej po odwołaniu z urzędu prezydenta Krakowa; 26 maja br.

Fot. Jakub Porzycki / Forum

eprasa.pl 028b2d3545

Gdy w lutym pierwszy raz rozmawiałem na temat krakowskiego referendum z krakowskim dziennikarzem Wojciechem Muchą, publicysta mówił mi, że jego zdaniem łatwiej jest zebrać podpisy pod wnioskiem referendalnym, niż później utrzymać zainteresowanie tematem i doprowadzić do skutecznego referendum. Przepisy, o których za chwilę, bardziej sprzyjają władzy niż obywatelom. Jednak stało się coś, w co wierzyli chyba tylko nieliczni. Aleksander Miszalski 24 maja br. został **skutecznie odwołany** z funkcji. Radość miejskiej opozycji nie jest jednak pełna, bo choć pierwsze, sondażowe wyniki wskazywały, że razem z prezydentem pożegnamy też Radę Miasta, ta zdołała się jednak uratować.

Krzysztof Karnkowski

21 kwietnia 2024 r. Aleksander Miszalski wygrał w drugiej turze wybory na prezydenta Krakowa, zdobywając 133 703 głosy. Po bardzo brutalnej kampanii, która została opisana w książce Andrzeja Gajcego i Wojciecha Muchy „Jak wygrać wybory i nie dać się złapać", Miszalski niewielką liczbą głosów pokonał kandydata niezależnego, krakowskiego aktywistę i biznesmena Łukasza Gibałę. Wynik ważył się do ostatniej chwili. Gibale obok zmasowanego ataku środowisk w rodzaju Soku z Buraka czy działań wykraczających daleko poza normalne reguły demokratycznej gry, o których mówi książka Gajcego i Muchy, zaszkodziła też własna polityczna przeszłość. Krakowski polityk był przed laty współpracownikiem Janusza Palikota, i to właśnie tuż przed ostatecznym głosowaniem wypomniała mu Małgorzata Wassermann, najpopularniejsza postać z kręgu krakowskiego PiS. Bardzo mocna krytyka Gibały potraktowana została jako wsparcie dla kandydata Platformy, który chwilę wcześniej fotografował się z ośmioma gwiazdkami namalowanymi na czole. W efekcie – choć większa część elektoratu Prawa i Sprawiedliwości zaufała Łukaszowi Gibale – około 1/3 głosujących została po prostu w domu. Z ich głosami Gibała wybory by prawdopodobnie wygrał i uniknęlibyśmy niepopularnych rządów Aleksandra Miszalskiego w Krakowie. Stało się jednak tak, jak się stało. W maju br. Wassermann zachęcała już do udziału w referendum odwoławczym. A to, jak już wiemy, doszło do skutku – za odwołaniem Miszalskiego głosowało 171 581 osób, a więc niemal 40 tysięcy więcej, niż poparło go dwa lata wcześniej. To zresztą ulubiona liczba sympatyków i organizatorów referendum, stanowi ona bowiem mocny kontrargument przeciw obecnej już w przekazie opinii kolegów eksprezydenta mówiących, że przecież większość i tak została w domu.

ZA ODWOŁANIEM MISZALSKIEGO GŁOSOWAŁO 171 581 OSÓB, A WIĘC NIEMAL 40 TYSIĘCY WIĘCEJ, NIŻ POPARŁO GO DWA LATA WCZEŚNIEJ.

Rozbicie dzielnicowe

Co ciekawe, za jedną z przyczyn porażki Miszalskiego uważa się sposób, w jaki kampanię prowadzili jego zwolennicy. Agresywne wpisy Soku z Buraka, powielane przez całą sieć kopiujących jego przekazy stron, osiągnęły poziom trudny do przełknięcia dla nie zawsze przecież jednoznacznie określonych politycznie Krakowian. Osoby, które chciały przerwać kadencję Miszalskiego, miały bardzo wiele motywacji – drakońskie założenia Strefy Czystego Transportu; demonstracyjne obsadzanie stanowisk swoimi znajomymi i ich żonami, często ludźmi bez wykształcenia, czasem nawet przegrywającymi konkursy; podwyżki cen biletów i wiele innych działań odpychały ludność od magistratu. Tymczasem krytycy, niekoniecznie zdeterminowani, by iść głosować, codziennie bombardowani byli przekazami robiącymi z nich skrajną prawicę, rosyjską propagandę, brunatną zarazę i kryptowalutową mafię. Wojciech Mucha zauważa, że po raz pierwszy aktywność Soku z Buraka okazała się przeciwskuteczna. – Nie udało im się zrobić tego, co robili od lat, to znaczy zalać internetu w taki sposób, by po prostu zakneblować usta i sparaliżować ręce swoim przeciwnikom nienawistnym hejtem – mówi mi

eprasa.pl 028b2d3545

Mucha. – Co więcej, ta demaskacja pozwoliła na skompromitowanie ich samych, bo wyśmiewanie się z samych tych treści, dawanie im negatywnych komentarzy czy negatywnych ikonek było bardzo powszechne. I to rzeczywiście było widać, że ta machina po prostu się już tym razem zacięła. Bardzo się z tego cieszę, bo ona w 2024 roku w bardzo dużym stopniu przyczyniła się do zwycięstwa Aleksandra Miszalskiego. Tym razem się to nie udało – tłumaczy. Referendum obok oczywistego wymiaru politycznego miało jednak też swój charakter klasowo-geograficzny. Za utrzymaniem status quo byli beneficjenci miejskiego układu, przeciw – zwykli mieszkańcy borykający się z rosnącymi kosztami życia i opłatami, żyjący w lęku przed utratą pracy (Kraków jest dość istotną pozycją na listach grupowych zwolnień ostatnich kilkunastu miesięcy). „Gazeta Wyborcza", by zdezawuować wynik głosowania, podkreśla, że Miszalski przegrał przez głosy peryferyjnych osiedli, podczas gdy mieszkańcy „starego Krakowa" raczej nie wybrali się do urn. Problem jednak w tym, że tych ostatnich jest coraz mniej, ponieważ krakowskie Śródmieście jest dziś coraz bardziej ziemią niczyją, w której nie ma już starych lokatorów, a co najwyżej turyści i żyjący z nich najbogatsi przedstawiciele elity. Reszty na mieszkanie tam już zwyczajnie nie stać. Apele młodych aktywistów i starzejących się artystów okazały się odklejone od odczuć zwykłych wyborców. Istotny okazał się też rozjazd między opiniami tych, którzy w Krakowie bywają, i tymi, którzy w nim po prostu są. Dziennikarz zwraca uwagę na fakt, że podczas gdy w rankingach turystycznych Kraków zajmuje bardzo wysokie pozycje, na listach miast najlepszych do życia według mieszkańców – dramatycznie dołuje. – Na peryferiach podniósł się głos sprzeciwu, który ogarnął finalnie jednak całe miasto. Okazuje się, że peryferia są silniejsze niż centrum – mówi Wojciech Mucha, opisując te lokalne niuanse. Elitarne centrum staje się maszynką do zarabiania pieniędzy, lecz nie dla mieszkańców, tylko dla lokalnego układu, którego symbolem kiedyś był Jacek Majchrowski, a później właśnie Miszalski. Inny krakowski komentator Miłosz Lodowski zwraca uwagę na pewien absurd: dawna stolica, która powinna być bogata dzięki potężnym wpływom z turystyki, stała się najbardziej zadłużonym miastem w Polsce.

PO RAZ PIERWSZY AKTYWNOŚĆ SOKU Z BURAKA OKAZAŁA SIĘ PRZECIWSKUTECZNA.

> ***Na peryferiach podniósł się głos sprzeciwu, który ogarnął finalnie jednak całe miasto. Okazuje się, że peryferia są silniejsze niż centrum.***
>
> **WOJCIECH MUCHA**

Demokraci przeciwko demokracji

Sporo ostatnio pisaliśmy o stosunku nominalnie demokratycznych sił politycznych do referendum – najbardziej demokratycznej formy obywatelskiego uczestnictwa w ważnych dla narodu sprawach. Temat nośny stał się nie tylko z powodu Krakowa. 20 maja br., gdy z ulic Warszawy zniknęło już ponad 200 tys. demonstrantów, którzy na wezwanie NSZZ „S" stawili się, by zaprotestować przeciwko polityce rządu, a zarazem poprzeć referendalną inicjatywę prezydenta Karola Nawrockiego, Senat przegłosował jej odrzucenie. Liberalne elity odmówiły obywatelom głosu w sprawie unijnej polityki ekologicznej. Wcześniej, w 2015 roku, Senat tak samo potraktował wniosek Andrzeja Dudy, który chciał zapytać Polaków o wiek emerytalny, edukację sześciolatków i prywatyzację lasów. Jeszcze wcześniej, pomimo złożenia potężnej liczny podpisów, przeprowadzenia referendów na te tematy odmówił związkowcom i aktywistom Sejm. Wróciła Platforma, wrócił sejmowo-senacki knebel dla ludzi chcących zabierać głos w sprawach, które najbardziej ich dotyczą. Po drodze, w 2023 roku, mieliśmy jeszcze referendum, które upadło po zmasowanej kampanii antyfrekwencyjnej i zapowiedzi Donalda Tuska, że i tak je unieważni. Nie musiał, propagandzie uległo wystarczająco wielu Polaków. I tu dochodzimy do kolejnej antydemokratycznej instytucji wpisanej w mechanizmy działania państwa: progu ważności referendów. W przypadku referendum krajowego jest to 50%. Zapis ten pojawił się w konstytucji przyjętej w głosowaniu, w którym nie było żadnego progu. Nie było też alternatywnego projektu zgłoszonego przez Solidarność, choć Polacy w sondażach deklarowali chęć dokonania wyboru między dwiema propozycjami, a nie wzięcie udziału w plebiscycie nad sprokurowanym przez elity III RP do-

eprasa.pl 028b2d3545

kumentem. Referenda lokalne zostały w ustawodawstwie potraktowane inaczej, nie miały jednak za wiele szczęścia. W 1992 r. weszła w życie ustawa o referendach lokalnych ustalająca próg ich ważności na 30%. Do 2006 r., w którym obniżono próg do wysokości 3/5 frekwencji z wyborów, w których powoływano będący przedmiotem plebiscytu organ, ważnych było jedynie 49 na 440 referendów, czyli 11 procent wszystkich przeprowadzonych w tym trybie głosowań. Po zmianie przepisów ten współczynnik poprawił się nieznacznie, wzrastając do 17%. Jednak nawet tego było już naszym zatroskanym demokratom za wiele. W latach 2013–2015 prezydent Bronisław Komorowski pracował nad zmianami w ustawie samorządowej, które zrównywałyby progi lokalne i ogólnopolskie na poziomie 50%. Gdy w początkach kampanii prezydenckiej w 2015 roku Komorowskiego masowo wspierali prezydenci największych i średnich polskich miast, nie brakowało głosów, że tak naprawdę chodzi im nie tyle o samą reelekcję polityka PO, co o kontynuację prac nad podwyższeniem progu. Jak wiemy, stało się inaczej. Co jednak istotne, gdy w swej drugiej kadencji PiS chciało razem z Kukiz'15 podjąć działania odwrotne, inicjatywę tę zablokował Senat, w którym ówczesna opozycja miała już większość. Głosy o konieczności podwyższenia progu pojawiły się… po nieudanym referendum w Warszawie, w którym – w apogeum afery reprywatyzacyjnej – nie udało się usunąć z urzędu Hanny Gronkiewicz-Waltz. W Warszawie do uznania głosowania za ważne zabrakło ok. 46 tysięcy głosów przy liczbie prawie 344 tysięcy przeliczonych kart. Wcześniej w referendach w większych miastach udało się jednak odwołać prezydentów: Czesława Małkowskiego w Olsztynie (2008), Tadeusza Wronę w Częstochowie (2009) i Jerzego Kropiwnickiego w Łodzi (2010). Ciekawym przypadkiem jest referendum, które odbyło się w Sopocie w 2009 r. Inaczej niż większość swoich kolegów ówczesny prezydent miasta Jacek Karnowski apelował do sympatyków o udział i faktycznie głosowanie wygrał. Ciekawe, czy naszych demokratów nauczy czegoś lekcja krakowska? Skutkiem apeli o pozostanie w domach sympatyków prezydenta był druzgocący dla niego wynik, w którym jego zwolenników doliczono się niecałe 3%.

Ponad podziałami

Gdy warszawskimi ulicami 20 maja br. przeszli związkowcy, uderzało szerokie zjednoczenie ludzi z bardzo różnych branż, ale też środowisk politycznych w jednej sprawie. Niezależnie od obstrukcji Senatu, sama manifestacja była wielkim sukcesem związków i świata pracy. Krakowskie referendum należy uznać za wydarzenie podobne, choć dużo bardziej – bo od stycznia do maja – rozłożone w czasie. Wbrew propagandzie była to inicjatywa, w której polityka grała drugie skrzypce. To nie partie polityczne, które dziś świętują niekoniecznie własny sukces, zebrały najwięcej podpisów i zaangażowały najwięcej sił w promocję referendum. Miszalskiego pogonili sfrustrowani mieszkańcy, kierowcy, właściciele knajp i małych biznesów, oczywiście często mający swe polityczne sympatie. Na Facebooku do referendum namawiały organizacje od narodowców do skrajnej lewicy i część środowisk anarchistycznych. Mało jest w Polsce przykładów takiej zgody. Ta różnorodność jest jednak pewną pułapką na kolejny etap, czyli odbywające się pod koniec wakacji wybory prezydenckie. Kraków czeka wysyp kandydatów. Poza lokalnymi politykami z układu i Gibałą swój start zapowiedzieli lub prawdopobnie zapowiedzą Marianna Schreiber, Marian Banaś i Grzegorz Braun, a także Marcin Świetlicki, choć to ostatnie może być żartem lub prowokacją artystyczną znanego poety. Nowy prezydent, jeśli nie będzie z KO, zderzy się ze starą Radą Miasta. Miłosz Lodowski upatruje w tym szansy na ostateczną kompromitację Rady i polityczną zmianę w mieście. Według Lodowskiego prezydent powinien być lokalnym odpowiednikiem Karola Nawrockiego, ujawniającym patologie i poszerzającym swoje kompetencje w zderzeniu z samorządowcami. Opozycji już pomaga arogancja władzy – brak refleksji i powołanie na komisarza Stanisława Kracika, dotąd zastępcy Miszalskiego w magistracie. Tymczasem kolejne miasta zaczynają rozmyślać nad własnymi referendami, padają już takie nazwy jak: Tarnów, Rzeszów, Wrocław, Poznań czy Radom. Z drugiej strony lokalne władze zrozumiały, że groźba odwołania jest bardziej realna, niż się dotąd zdawało, co sprawia, że przed następną złą dla mieszkańców ideologiczną decyzją zastanowią się dwa razy. I choćby po tym widać, jak cenne są dla obywateli te instrumenty bezpośredniego wpływu na politykę.

MISZALSKIEGO POGONILI SFRUSTROWANI MIESZKAŃCY, KIEROWCY, WŁAŚCICIELE KNAJP I MAŁYCH BIZNESÓW.

eprasa.pl 028b2d3545

Volkswagen Poznań.

NAJWAŻNIEJSI SĄ LUDZIE

Przedstawiciele redakcji „TS" z wizytą w Volkswagenie

Fot. M. Żegliński (4)

Volkswagen Poznań to przykład firmy, w której **rozwój biznesu idzie w parze z troską o pracowników** i dialog społeczny. Od ponad 30 lat przedsiębiorstwo buduje swoją pozycję w oparciu o nowoczesne technologie, silne relacje z partnerami oraz unikalny model współpracy ze związkami zawodowymi.

Barbara Michałowska

Firma funkcjonuje w Polsce od 1993 roku i obecnie obejmuje cztery nowoczesne zakłady produkcyjne, w których zatrudnionych jest blisko 9 tysięcy pracowników. Przedsiębiorstwo specjalizuje się przede wszystkim w produkcji samochodów dostawczych, takich jak modele Caddy czy Crafter, a także

eprasa.pl 028b2d3545

komponentów motoryzacyjnych, w tym elementów silników i układów napędowych.

Współpraca z polskimi firmami jest priorytetem

– Dzięki dużej skali produkcji – ponad 236 tysięcy pojazdów rocznie – firma jest największym producentem samochodów dostawczych w Polsce oraz największym pracodawcą w Wielkopolsce. Najważniejsi są dla nas ludzie i nasze produkty – mówi Marzena Pillich-Grońska, dyrektorka zakładu we Wrześni.

Powierzchnia tego zakładu wynosi 220 ha, co odpowiada 300 boiskom piłkarskim. Na terenie fabryki działa nowoczesna Hala Budowy Karoserii, Lakiernia, Hala Montażu oraz Park Dostawców, Dział Samochodów Specjalnych oraz Dział Produkcji Pilotażowej. Tylko w tym zakładzie zatrudnionych jest 3 tys. osób.

Działalność Volkswagena w tym i trzech innych zakładach na terenie Polski ma istotne znaczenie gospodarcze. Firma współpracuje z szeroką siecią dostawców, a – co ważne – aż 70 proc. części pochodzi od polskich przedsiębiorstw. Firma chwali się również wysokim poziomem eksportu (93 proc. produkcji) oraz silną pozycją firmy na rynkach międzynarodowych. Jednocześnie przedsiębiorstwo inwestuje w rozwój technologiczny i ekologiczny m.in. poprzez budowę instalacji fotowoltaicznych, rozwój odnawialnych źródeł energii oraz realizację strategii dekarbonizacji. Ważnym elementem działalności jest również współpraca z uczelniami i szkolnictwem zawodowym, co pozwala na kształcenie przyszłych kadr.

Konstruktywny dialog

Istotnym aspektem funkcjonowania Volkswagen Poznań są relacje między kierownictwem a pracownikami reprezentowanymi przez związki zawodowe.

W firmie funkcjonuje jedna reprezentatywna organizacja zakładowa – NSZZ „Solidarność", do której należy aż 64 proc. załogi. Tak wysoki poziom uzwiązkowienia to dowód na silną pozycję organizacji pracowniczej oraz jej realny wpływ na funkcjonowanie przedsiębiorstwa.

– Od ponad 30 lat prowadzimy konstruktywny dialog z reprezentatywną organizacją związkową – NSZZ „Solidarność". Dialog oparty jest na fundamentach przede wszystkim zaufania i współpracy. A co najważniejsze, przyświeca nam jeden cel, czyli trwałość naszego przedsiębiorstwa i bezpieczeństwo zatrudnienia naszych pracowników – mówi Jolanta Musielak, członkini Zarządu Volkswagen Poznań ds. personalnych i organizacji.

Dialog społeczny stanowi fundament strategii firmy.

– To, co nas wyraźnie wyróżnia, to sposób funkcjonowania naszej organizacji i relacji wewnętrznych. Często wyobrażam sobie naszą firmę jako „taką wyspę" na mapie Polski – miejsce, gdzie obowiązują rozwiązania oparte na dialogu i współpracy,

eprasa.pl 028b2d3545

inne niż w wielu krajach, choćby w Niemczech, w których ramy prawne są odmienne – mówi Piotr Olbryś, przewodniczący OM NSZZ „Solidarność" w Volkswagen Poznań.

Volkswagen deklaruje budowanie atmosfery zaufania pomiędzy kierownictwem firmy a pracownikami. Prowadzi regularne konsultacje z partnerem społecznym. To częste i wielopoziomowe spotkania między zarządem a przedstawicielami strony społecznej – od cotygodniowych rozmów dotyczących bieżących spraw, po cykliczne spotkania strategiczne i negocjacyjne.

To właśnie współpraca pomiędzy kierownictwem Volkswagen Poznań a Solidarnością w dużym stopniu przyczyniła się 10 lat temu do uruchomienia zakładu produkcji we Wrześni, choć rozważano wówczas również tańsze z punktu widzenia pracodawcy miejsca, jak np. Turcja.

Karta stosunków pracy

Kluczowym narzędziem regulującym relacje pomiędzy pracodawcą a reprezentatywnym związkiem zawodowym jest tzw. Karta stosunków pracy, która obejmuje m.in. kwestie organizacji pracy, systemów wynagrodzeń, bezpieczeństwa, rozwoju zawodowego oraz komunikacji. Współpraca między stronami opiera się na trzech filarach: współdecydowaniu, współtworzeniu i współodpowiedzialności. Oznacza to, że związki zawodowe uczestniczą nie tylko w negocjacjach płacowych, ale również w ustalaniu rozliczania czasu pracy, strategii zatrudnienia czy zmian organizacyjnych.

– Karta podnosi nasz model współpracy i dialog na zupełnie inny, wyższy poziom. Oznacza to, że razem nie tylko wypracowujemy projekty, podejmujemy decyzje, ale później ramię w ramię stoimy przed naszymi pracownikami i bronimy wypracowanych rozwiązań – przekonuje Przemysław Chojnacki, kierownik ds. wytycznych HR, sterowania HR i relacji pracowniczych.

– Dobrym przykładem jest model dialogu społecznego, który realizujemy w praktyce. Często zdarza się, że obie strony – pracodawca i pracownicy – mówią jednym głosem w sprawach kluczowych dla naszych zakładów pracy i pracowników. Dotyczyło to chociażby regulacji związanych z czasem pracy. Wspólnie wypracowaliśmy rozwiązanie obejmujące 12-miesięczny okres rozliczeniowy, które powstało jeszcze w czasie kryzysu finansowego w latach 2008–2009 i funkcjonuje do dziś – dodaje Piotr Olbryś.

W firmie obowiązuje także układ zbiorowy pracy, w ramach którego negocjowane są korzystne dla pracowników rozwiązania.

– Dla nas to ważne, by usłyszeć opinię ze strony przedstawicieli Solidarności, bo oni są najbliższej pracowników, najbardziej znają ich potrzeby, ale także problemy. Codziennie są wśród tych ludzi i mają ich zaufanie – podkreśla Marzena Pillich-Grońska.

„Najważniejsi są ludzie"

Dobra współpraca w ramach zakładu pracy zaowocowała powołaniem zespołu branżowego ds. przemysłu motoryzacyjnego przy Ministerstwie Rozwoju, Pracy i Technologii. Dziś funkcjonuje on jako platforma współpracy różnych środowisk – pracodawców, poddostawców i organizacji branżowych.

Relacje ze związkami zawodowymi wypływają także z szerszej filozofii wdrażanej przez koncern. To dbałość o pracujących w nim ludzi.

– Ważnym obszarem jest także edukacja i kształcenie przyszłych pracowników. Współpracujemy ze szkołami i uczelniami, rozwijając system kształcenia zawodowego na wzór niemiecki. Prowadzimy klasy patronackie, organizujemy praktyki i szkolenia, a absolwenci są dobrze przygotowani do pracy w naszej firmie – mówi Przemysław Chojnacki.

W ten sposób Volkswagen, wraz z siecią dostawców, a także współpracującymi z nim szkołami był w stanie stworzyć cały ekosystem, który jest motorem napędowym gospodarki w Wielkopolsce, a co ważne, rozwija się, nie tracąc szacunku dla tych, którzy bezpośrednio budują jego siłę, czyli własnych pracowników.

eprasa.pl 028b2d3545

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego

Basia: – Przed nami 37. rocznica pierwszych po II wojnie światowej częściowo wolnych wyborów, które odbyły się 4 czerwca 1989 roku. Był Pan świadkiem poprzedzającej je kampanii Komitetu Obywatelskiego „Solidarność". Z tego czasu ma Pan wiele świetnych zdjęć dokumentujących nie tylko wydarzenia, ale również atmosferę tamtych dni.

Tomek: – Fotografowałem działania prowadzone w ramach kampanii w różnych miejscach Warszawy i oczywiście to, co działo się na Placu Konstytucji i w samej Kawiarni Niespodzianka, w której mieściło się Biuro Wyborcze Warszawskiego Komitetu Obywatelskiego „S".

– A dzisiaj prezentowane zdjęcie?

– To warszawska Praga, nieistniejący już budynek, mieszczący się wówczas na rogu ulic Brzeskiej i Ząbkowskiej, w którym też prowadzono działania związane z kampanią.

– Na tym, ale również na innych Pana zdjęciach z tamtego czasu widać, jak bardzo ludzie interesowali się tym, co Solidarność ma im do powiedzenia. Oglądali plakaty, czytali odezwy. Niemal wprost odpowiadali na jedno z solidarnościowych haseł: „Chodźcie z nami".

– Tak. I w końcu zaowocowało to wysoką frekwencją i wynikami wyborów.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl 028b2d3545

Fot. Tomasz Tomaszewski

Czas przełomu i (zawiedzionych?) nadziei

2 czerwca 1989 r., po **ośmiu latach przerwy**, ukazał się „Tygodnik Solidarność". Trzydziesty ósmy numer pisma trafił do rąk czytelników niemal w przededniu częściowo wolnych wyborów parlamentarnych, co sprawiło, że nie mógł się zaangażować w kampanię poprzedzającą głosowanie. Numer otwierał tekst Tadeusza Mazowieckiego „Wierność", którego tytuł miał stanowić deklarację programową redakcji odwołującej się do solidarnościowych ideałów i dziedzictwa.

Partner dodatku

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

eprasa.pl 028b2d3545

Nawiązaniem do „przedwojennego” okresu istnienia było nie tylko kontynuowanie numeracji, ale także ponowne powierzenie funkcji redaktora naczelnego Tadeuszowi Mazowieckiemu, który zadania te realizował zaledwie przez trzy miesiące. Istotniejsza jest jednak inna uwaga. „Tysol” nie był pierwszym periodykiem wywodzącym się ze środowiska solidarnościowego, 8 maja do sprzedaży trafił bowiem pierwszy numer „Gazety Wyborczej”. Jak pokazał późniejszy bieg wydarzeń, jej losy przeplatały się z historią „Tygodnika”. Nie ulega wątpliwości, że „Wyborcza” startowała z uprzywilejowanej pozycji ze względu na częstotliwość wydania oraz fakt wcześniejszego pojawienia się na oficjalnym rynku wydawniczym. Od początku zyskała też stabilniejsze podstawy finansowe, co miało niebagatelne znaczenie dla możliwości nie tylko opisywania, ale i skutecznego kształtowania politycznej rzeczywistości.

W pierwszym numerze wznowionego „TS” ukazał się m.in. obszerny wywiad z Lechem Wałęsą, w którym lider Związku zapewniał czytelników, że „wszystko zostało załatwione drogą pokojową”, czym tłumaczył brak społecznego entuzjazmu dla dokonujących się przemian. Sceptycyzmu nie wiązał chociażby z niedemokratycznymi mechanizmami wyłaniania kandydatów do parlamentu, które musiały przecież wpływać na nieufny stosunek Polaków do kompromisów zawieranych z komunistami.

Bieg wydarzeń rozgrywających się w roku 1989 był na tyle szybki, że wiele formułowanych ocen błyskawicznie traciło aktualność.

Bieg wydarzeń rozgrywających się w roku 1989 był na tyle szybki, że wiele formułowanych ocen **błyskawicznie** traciło aktualność.

Dokonujące się zmiany bezpośrednio wpływały też na sytuację „TS”. Stało się tak w momencie powierzenia Mazowieckiemu misji stworzenia rządu. Następstwem tej decyzji była zmiana na stanowisku redaktora naczelnego. Po krótkim interregnum Jana Dworaka stery w redakcji objął Jarosław Kaczyński, senator i jednocześnie sekretarz Krajowej Komisji Wykonawczej NSZZ „Solidarność”. Warto dodać, że ustępując, Mazowiecki nieprzypadkowo wskazał swego następcę, ponieważ próbował w ten sposób zapewnić medialne wsparcie dla tworzonego przez siebie gabinetu. Była to kulminacja sporu, jaki powstał po zapowiedzi, że nie będzie „premierem malowanym”, więc Wałęsa musiał reagować na próby ignorowania go przez premiera i rosnące wpływy lewicy laickiej. Gwoli sprawiedliwości należy przyznać, że w omawianym okresie rosnące w siłę środowisko „GW” w roli szefa rządu widziało Bronisława Geremka, a do byłego naczelnego „Tysola” odnosiło się z dystansem. Dziś już tylko zawodowi historycy oraz część uczestników rozgrywających się wówczas wydarzeń pamiętają wymianę poglądów między Tadeuszem Mazowieckim a Adamem Michnikiem, któremu pierwszy z wymienionych odpowiadał artykułem „Spiesz się powoli” na głośny tekst „Wasz prezydent, nasz premier” zawierający propozycję podzielenia się władzą przez przedstawicieli okrągłostołowej opozycji z „reformatorskim skrzydłem” PZPR.

„Tygodnik Solidarność” **już jesienią 1989 r.** pisał o podziałach środowisk opozycyjnych.

Pojawienie się Jarosława Kaczyńskiego skutkowało poważnymi zmianami. Część dziennikarzy odeszła w proteście wraz z Janem Dworakiem, część rozpoczęła współpracę z nowym kierownictwem, inni jeszcze przyjęli postawę wyczekującą. Paradoksem, by nie powiedzieć – przejawem hipokryzji, były głosy dochodzące z łamów prasy partyjnej piszącej o groźbie stworzenia nowego monopolu informacyjnego i powstania nowej nomenklatury – zdolnej do stosowania wobec dziennikarzy nieetycznych i brutalnych metod. Tymczasem to nie w redakcji „Tygodnika” przed dziennikarzami stawiano ultimatum: „Można pisać albo w « GW » albo w « Tysolu »” … W rzeczywistości konflikt był odbiciem istnienia w środowiskach solidarnościowych dwóch nurtów: liberalno-lewicowego i niepodległościowego, a według niektórych opinii sposób przedstawienia sporu był konsekwencją „wywrócenia” przez Kaczyńskiego koncepcji utworzenia rządu z Geremkiem jako premierem.

Niebezpieczną konsekwencją dla czasopisma stał się swego rodzaju bojkot, co skutkowało spadkiem nakładu (a tym samym problemami ze zdobyciem reklamodawców) i zaszufladkowaniem jako pisma o jednoznacznie prawicowym obliczu.

„Tygodnik Solidarność” już jesienią 1989 r. pisał o podziałach środowisk opozycyjnych. Najbardziej znany stał się artykuł pt. „Familia. Świta. Dwór”, w którym Piotr Wierzbicki opisał rywalizację między Prezydium Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego („familia”), otoczeniem Wałęsy skupionym w KKW („dwór”) ›

eprasa.pl 028b2d3545

Fot. T. Gutry

Jarosław Kaczyński był redaktorem naczelnym „TS" w latach 1990–1991. Na zdjęciu z Lechem Kaczyńskim i Janem Olszewskim w redakcji w 1993 r.

i nowo powołanym rządem „pierwszego niekomunistycznego premiera" („świta"). W latach 1989–1990 zespół redakcyjny – którego znaczącymi postaciami byli w omawianym okresie i w kolejnych latach m.in.: Krzysztof Czabański, Anita Gargas, Wojciech Giełżyński, Jacek Maziarski, Andrzej Urbański, Piotr Wierzbicki, Krzysztof Wyszkowski i Maciej Zalewski – podejmował tak istotne kwestie, jak konieczność odejścia od ustaleń „okrągłego stołu" (praktyczną formą realizacji koncepcji „przyspieszenia" miała być prezydentura Wałęsy, która przyniosła wkrótce szereg rozczarowań), opuszczenia terytorium Rzeczypospolitej przez wojska sowieckie (co stało się faktem w 1993 r., w przededniu wygranych przez postkomunistów wyborów parlamentarnych), czy też wreszcie akcesu Polski do Paktu Północnoatlantyckiego (nastąpił w 1999 r.). Wiele miejsca poświęcono społecznym konsekwencjom reform gospodarczych wprowadzanych w oparciu o „program Balcerowicza", przejawiającym się upadkiem całych sektorów polskiej gospodarki i strukturalnym bezrobociem w wielu regionach kraju. Co więcej, „Tysol" pozostawał przez pewien czas jedynym pismem w Polsce konsekwentnie domagającym się przeprowadzenia lustracji i dekomunizacji. Z tego względu naraził się na bojkot ze strony dzierżącego monopol w dystrybucji koncernu „Prasa. Książka. Ruch", co skutkowało poważnymi kłopotami z dotarciem do czytelników. Znalazł się także poza „kręgiem medialnych przyjaciół" stojących na straży mitów założycielskich III RP.

Wiele miejsca poświęcono społecznym konsekwencjom reform gospodarczych wprowadzanych w oparciu o „program Balcerowicza", przejawiającym się **upadkiem całych sektorów** polskiej gospodarki i strukturalnym bezrobociem.

dr Sebastian Pilarski,
dyrektor Biura Badań Historycznych IPN

eprasa.pl 028b2d3545

PREMIA PRZYZNANA,
ale niewypłacona. Czy pracodawca może ją jeszcze cofnąć?

Ostatnio mamy dość trudną i niejasną sytuację w firmie, a jak nie wiadomo, o co chodzi, to zawsze chodzi o... pieniądze. Czy pracodawca może zmienić decyzję i **odebrać** premię, która została mi już przyznana, ale jeszcze nie była wypłacona?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

To pytanie w praktyce prawa pracy pojawia się częściej, niż mogłoby się wydawać, szczególnie na przełomie roku obrotowego lub po zamknięciu okresów rozliczeniowych. Z punktu widzenia pracownika sytuacja wydaje się oczywista, bo skoro premia została przyznana, to stanowi element wynagrodzenia i powinna zostać wypłacona. Z punktu widzenia pracodawcy sprawa bywa jednak bardziej złożona, zwłaszcza gdy pojawiają się kwestie wyników finansowych, błędów w ocenie albo zmiany polityki premiowej. Z perspektywy prawa pracy kluczowe znaczenie ma nie sama nazwa świadczenia, ale jego charakter prawny. W praktyce należy rozróżnić premię uznaniową od premii o charakterze roszczeniowym wynikającej z regulaminu wynagradzania, umowy o pracę lub innego źródła prawa wewnątrzzakładowego. Jeżeli mamy do czynienia z premią uznaniową, to dopóki nie zostanie ona w sposób jednoznaczny i indywidualny skonkretyzowana jako należna danemu pracownikowi, pracodawca co do zasady zachowuje swobodę w zakresie jej przyznania. W praktyce oznacza to, że ogólna informacja o planowanej premii, nawet jeśli budzi oczekiwania pracowników, nie zawsze tworzy jeszcze po ich stronie roszczenie. Inaczej sytuacja wygląda w przypadku premii regulaminowej. Jeżeli zasady jej przyznawania zostały jasno określone, a pracownik spełnił wskazane w nich warunki, to prawo do premii staje się elementem wynagrodzenia za pracę. W takim przypadku jej jednostronne „cofnięcie" przez pracodawcę, nawet przed faktyczną wypłatą, może być traktowane jako naruszenie obowiązku wypłaty wynagrodzenia w należnej wysokości. Istotne znaczenie ma również moment, w którym dochodzi do nabycia prawa do świadczenia. Jeżeli wszystkie przesłanki zostały spełnione, a premia została już przyznana w sposób wiążący, późniejsza zmiana decyzji wymaga szczególnej podstawy prawnej. Nie może wynikać wyłącznie z wewnętrznej korekty polityki kadrowej czy zmiany oceny sytuacji finansowej pracodawcy. W praktyce spory w tym zakresie bardzo często wynikają z nieprecyzyjnych regulaminów premiowania, w których granica między premią uznaniową a roszczeniową jest zatarta. W takich przypadkach sądy pracy analizują nie tylko treść dokumentów, ale również faktyczny sposób funkcjonowania systemu premiowego w zakładzie pracy.

SPORY W TYM ZAKRESIE BARDZO CZĘSTO WYNIKAJĄ Z NIEPRECYZYJNYCH REGULAMINÓW PREMIOWANIA, W KTÓRYCH GRANICA MIĘDZY PREMIĄ UZNANIOWĄ A ROSZCZENIOWĄ JEST ZATARTA.

Podsumowując, odpowiedź na pytanie nie jest jednolita. Cofnięcie premii jest co do zasady możliwe wyłącznie wtedy, gdy świadczenie ma rzeczywiście charakter uznaniowy i nie zostało jeszcze skutecznie przekształcone w roszczenie pracownika. W każdym innym przypadku premia staje się elementem wynagrodzenia, którego pracodawca nie może dowolnie modyfikować po jego przyznaniu.

PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**") lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność", ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 028b2d3545

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO

Dlaczego Unia Europejska tak bardzo nas rozczarowała?

Zdzisław Krasnodębski

„Nas" nie znaczy oczywiście wszystkich Polaków. Wielu naszych współrodaków rozczarowanych nie jest. Nie są już chyba – w głębi serca – tak zachwyceni jak przed laty, ale nadal obdarzają Unię zaufaniem, nadal demonstrują swoje do niej przywiązanie, nadal jest ona dla nich punktem odniesienia. I nie chodzi tylko o osoby zafiksowane na unijnych dotacjach i dopłatach. Wielu Polaków po prostu uznaje nadrzędność politycznych struktur unijnych nad polskimi. Nie ceni własnego państwa na tyle, by im przeszkadzał fakt, że coraz więcej decyzji o podstawowym znaczeniu podejmowanych jest przez instancje zewnętrzne. Traktaty unijne – których zresztą nie znają – to dla nich rodzaj nadkonstytucji. Europejski Trybunał Sprawiedliwości pełni w ich przekonaniu rolę nad-Trybunału Konstytucyjnego i Sądu Najwyższego jednocześnie, a Komisja Europejska to rodzaj rządu federalnego. W gruncie rzeczy UE jest już dla nich półpaństwem i nie mają nic przeciw temu, by nim została w pełni. Zwolennicy Koalicji 13 grudnia zdają sobie przy tym sprawę, że bez pomocy Unii nie udałoby się odsunąć PiS od władzy; ci najbardziej radykalni cieszą się, że UE przeprowadza u nas rewolucję obyczajową i uczy nas praworządności.

Warto przypomnieć, że przed akcesją Polski do UE krążyły opinie o potrzebie „miękkiej kolonizacji". Potrzebę tę głosili także ludzie o prawicowych poglądach argumentujący wówczas, że tylko taka miękka kolonizacja uniemożliwi trwanie postkomunistycznych struktur i ograniczy wpływy oligarchów, że dzięki wejściu do UE Polska będzie lepiej zarządzana, stanie się nowocześniejsza, bogatsza, bardziej demokratyczna. Członkostwo w UE miało być szansą na modernizację, na dobrobyt, na państwo prawa i realną demokrację.

Polska rzeczywiście stała się przez te wszystkie lata cywilizacyjnie innym krajem, choć wiemy, że obecne pochwały w mediach europejskich są przesadzone i mają zatrzeć zafałszowany czarny obraz Polski, który jeszcze do niedawna w nich dominował. Rozwój naszego kraju to w przekonaniu euroentuzjastów efekt członkostwa w UE, a jedyną alternatywą, jaką sobie są w stanie wyobrazić, jest ponura perspektywa znalezienia się znowu w sferze wpływów Rosji.

Rozczarowani są zaś ci, którzy widzą, że UE podejmuje decyzje nie tylko niezgodne z naszymi interesami, ale nawet ze zdrowym rozsądkiem, że jej polityka może staje się hamulcem naszego rozwoju i jednocześnie odbiera nam wolność. Najlepszym tego przykładem jest

„ZIELONY ŁAD" POZWALAŁ KE SKUPIAĆ CORAZ WIĘCEJ WŁADZY W SWOIM RĘKU, LEGITYMIZOWAĆ JEJ INGERENCJĘ W KAŻDĄ NIEMAL DZIEDZINĘ ŻYCIA.

eprasa.pl 028b2d3545

polityka klimatyczna. Od początku było oczywiste, że będzie się łączyła z ogromnymi kosztami i że zakładane cele są nierealistyczne, gdyż nie ma rozwiązań technicznych (zwanych dzisiaj technologicznymi), których wdrożenie mogłoby zapewnić ich osiągnięcie. Była więc to polityka oparta na pobożnych życzeniach, a nie na racjonalnej ocenie sytuacji. Nawet jeśli przyjąć, że ograniczenie emisji gazów cieplarnianych jest nie tylko wskazane, ale konieczne, nie było powodu, by zakładać, że to Europa ma stać się Mesjaszem Zielonego Ładu, który powiedzie świat ku zeroemisyjnemu rajowi. Było oczywiste, że skutki ciągle zaostrzanej polityki klimatycznej uderzą w europejski przemysł, że ogromne koszty nie ominą również zwykłych obywateli.

Była w tym jednak racjonalność polityczna. „Zielony Ład" pozwalał bowiem KE skupiać coraz więcej władzy w swoim ręku, legitymizować jej ingerencję w każdą niemal dziedzinę życia, od transportu, przez rolnictwo, po mieszkalnictwo. Długo wpisywała się także w nastroje zblazowanych społeczeństw Europy Zachodniej, dopóki i one nie zaczęły odczuwać jej finansowych skutków. Podobnie było z polityką migracyjną. Tania siła robocza wydawała się z początku tak potrzebna i przyjmowanie uchodźców tak humanitarne. Ściąganie ludzi z zagranicy, a potem spoza Europy, pozwalało łagodzić i maskować kryzys demograficzny. Ale utopijna wizja wielokulturowego, barwnego, tolerancyjnego społeczeństwa zamieniła się w koszmar, o czym wie dziś każdy przeciętny, rdzenny mieszkaniec Paryża czy Berlina. Partnerstwo z Rosją miało nie tylko z czystym sumieniem zapewniać tanią energię, lecz wzmacniać pozycję Europy wobec USA – pamiętamy przecież słynną oś Chirac – Schröder – Putin w czasie wojny w Iraku. Doprowadziło to zaś do penetracji Europy przez Rosję i dzisiejszej bezbronności.

Ale przecież – jak powiadają zwolennicy UE – Unia to my. Dlaczego więc nie udało się nam w porę reagować na błędne decyzje, poprawiać je lub blokować tych najbardziej absurdalnych, najbardziej dla nas i dla Europy niekorzystnych. Czyż nie mieliśmy być pełnoprawnym członkiem „elitarnego klubu", jak kiedyś zapewniał Aleksander Kwaśniewski? Tylko że UE to nie jest „klub", to nie jest organizacja dobroczynna, w której zanikła władza polityczna, sprzeczności interesów i dążenie do dominacji. Nasze iluzje zderzyły się z twardą rzeczywistością. Także w Unii liczy się siła – siła gospodarcza, siła polityczna, potencjał demograficzny i (jak się okazało) militarny. Jeśli chcielibyśmy mieć udział w decyzjach, musielibyśmy wywalczyć sobie odpowiednią pozycję. My zaś byliśmy z początku za słabi, za biedni, za naiwni, czekaliśmy na pomoc i radę. Nie mieliśmy – i nie mamy do tej pory – żadnych ambicji w UE. Chcieliśmy się tylko znaleźć przy stole. Taka była, jak pamiętamy, filozofia Donalda Tuska w czasie jego pierwszych rządów. Nie bardzo wiadomo było, po co. Jednym naszym konkretnym celem było uzyskiwanie funduszy. Długo nie zauważaliśmy, że cena polityczna unijnych pieniędzy ciągle rośnie. Poza tym nie mieliśmy żadnego planu i żadnej szerszej strategii. Obok „kasy", „wyciskania brukselki" interesowały nas co najwyżej sprawy personalne. Mieliśmy swego „króla Europy", przy którego osiągnięciach gaśnie nawet gloria Michała Korybuta Wiśniowieckiego; raz odważyliśmy się powiedzieć bezskuteczne, ale honorowe „nie", gdy chodziło o drugą część kadencji Tuska. Innym razem stawiliśmy zaciekły opór, żeby Frans Timmermans nie został przewodniczącym Komisji, by dostać w zamian miłościwie nam panującą Ursulę von der Leyen. Nasz wpływ na unijną legislację był znikomy. Nie mamy żadnych wyższych urzędników w KE, żadnych znaczących polskich organizacji pozarządowych, fundacji czy think tanków działających na poziomie unijnym, nie mamy żadnych mediów oddziałujących na europejską opinię publiczną, nie mamy liczących się i nieprzekupnych specjalistów od prawa europejskiego itd. Nasze rozczarowanie Unią jest więc również rozczarowaniem się sobą, tym, że sobie w niej nie radzimy, że ona nami rządzi, a my niewiele mamy w niej do powiedzenia (oprócz krzyków niektórych europosłów lub przymilania się innych).

NIE MAMY ŻADNYCH WYŻSZYCH URZĘDNIKÓW W KE, ŻADNYCH ZNACZĄCYCH POLSKICH ORGANIZACJI POZARZĄDOWYCH, FUNDACJI CZY THINK TANKÓW DZIAŁAJĄCYCH NA POZIOMIE UNIJNYM.

eprasa.pl 028b2d3545

WIRAŻ, czyli nowa normalność

Kryzys wydaje się opanowany. Co więcej, zakończył się tak spektakularnym zwycięstwem polskiego prezydenta i szerzej – obozu Prawa i Sprawiedliwości, że ciężko byłoby o bardziej widowiskowe. Trudno inaczej odebrać fakt, że Donald Trump nie tylko ogłosił, że nie wycofuje żołnierzy z Polski i nie tylko użył w tym kontekście słowa „zwiększenie" (co ma ono znaczyć – to inne pytanie), ale w dodatku jednoznacznie powiedział, że czyni to **ze względu na więzy** łączące go z Karolem Nawrockim.

Piotr Skwieciński

Fot. Biały Dom / Molly Riley / rawpixel.com

To ostatnie naraziło na śmieszność sporą część propagandystów obozu rządowego, którzy przez kilka dni zdążyli po wiele razy odtrąbić całkowitą nieskuteczność, a więc kompromitację, polskiego prezydenta. Najlepiej widać to było w mediach tradycyjnych, drukowanych, których cykl produkcyjny wymusza pewną inercję. Jeszcze w sobotę, 23 maja, kilkadziesiąt godzin po ogłoszeniu przez Trumpa, że US Army nie zmniejsza zaangażowania w Polsce i że to zasługa relacji z Nawrockim, papierowa „Wyborcza" pyszniła się komentarzem zastępcy naczelnego Bartosza Wielińskiego, triumfalnie komunikującego, iż „trzeba się będzie pogodzić z faktem, że na polskim terytorium będzie kilka tysięcy żołnierzy mniej. Nic nie wskazuje na to, że Pentagon zmieni decyzję o wstrzymaniu przerzucenia do Polski liczącej ok. 4 tys. żołnierzy 2. Pancernej Brygadowej Grupy Bojowej. Prezydent Karol Nawrocki oddał

eprasa.pl 028b2d35

sprawę walkowerem i nie prowadzi żadnych działań".

Bywał kiedyś używany taki idiom „zjeść własne pióro". Chodziło o honorowe zachowanie po tym, gdy kategorycznie się coś w gazecie obwieściło, a stało się odwrotnie. Ale już od bardzo dawna o zjadaniu własnego pióra nie słyszałem...

Zarówno z punktu widzenia Polski, jak i polskiej prawicy sukces jest, i to bezdyskusyjny. Ale jednocześnie, mimo że realny, to w pewnych aspektach trochę, by użyć eufemizmu, problematyczny. Dlaczego?

Z ładnych kilku powodów.

Wisimy na jednym człowieku

Po pierwsze dlatego, że cała sprawa wykazuje całkowitą niestabilność naszego bezpieczeństwa. Okazuje się ono bowiem zależeć jedynie od woli jednego, konkretnego człowieka – czyli Trumpa. Który, owszem, okazał w tej kwestii czy to poczucie sentymentu, związanego z pamięcią o jednoznacznym postawieniu na niego przez dominujący odłam polskiej prawicy, czy to – nie sposób tego wykluczyć – lepsze niż wielu spośród jego otoczenia rozumienie rzeczywistości geopolitycznej, czy i jedno, i drugie jednocześnie. I to trzeba docenić, mogło być znacznie gorzej.

Tylko że do niedawna nasza koncepcja sojuszu z Ameryką opierała się na czym innym. Na założeniu, że – przy całej dysproporcji potencjałów obu państw – leży on w interesie nie tylko naszym, ale i USA. Że oczywiście kolejne administracje mogą podchodzić do tego z różnym zaangażowaniem, ale nie kwestionując samego faktu, że utrzymanie realnej niezależności Polski (jako kluczowego kraju na granicy Europy i Rosji) od Moskwy leży w ich interesie. A obecność wojsk amerykańskich, traktowana przez Polaków jako gwarancja wciągnięcia Stanów w ewentualny zbrojny konflikt już w najwcześniejszej jego fazie, jest rękojmią tej niezależności. Że między wszelkimi możliwymi segmentami amerykańskiej elity politycznej panuje co do tego mniej więcej zgoda.

To, co wydarzyło się w ciągu ostatnich tygodni, każe niestety odłożyć to przeświadczenie do lamusa. Zostało poglądowo wykazane, że sojusz z Polską (tak jest, właśnie sojusz, a nie tylko sama obecność wojsk amerykańskich na naszej ziemi – dlatego że ta obecność była i wciąż jest uważana przez Polaków za kwintesencję sojuszu) bynajmniej nie jest w Ameryce powszechnie uznawany za coś oczywistego. Za coś, powtórzmy, istotnego dla samej Ameryki.

NASZE BEZPIECZEŃSTWO OKAZUJE SIĘ ZALEŻEĆ JEDYNIE OD WOLI JEDNEGO, KONKRETNEGO CZŁOWIEKA – DONALDA TRUMPA.

To wciąż uznaje część Demokratów, część Republikanów (tu napawający nadzieją jest projekt National Defense Authorization Act na 2027 r., wypowiadający się za stałą obecnością US Army w Polsce) i, być może, sam prezydent. Ale bardzo istotna część jego obozu ewidentnie sądzi inaczej. I niemal udało się jej narzucić swoją linię całej administracji. Uratował nas przed tym osobiście Trump. A gdyby go zabrakło? Gdyby władzę objął, chociażby, J.D. Vance? A przecież nawet on nie jest, na tle całego politycznego zaplecza Białego Domu, największym radykałem w kwestii przeorientowywania amerykańskich zaangażowań. Pierwotna, zmieniona przez Trumpa decyzja wskazuje, że większość jego otoczenia, mając wolną rękę, wyprowadziłaby wojska z naszego kraju.

Oczywiście, nie należy wpadać w przesadę. Historia zna wiele przykładów sytuacji, w której los, czyjś personalnie albo całego kraju, długo zależał od dobrej woli kogoś jednego. I wcale nie zawsze to się źle kończyło. Na pewno źle to znosimy, bo przyzwyczailiśmy się po prostu do strategicznej pewnościdającej psychologiczny komfort. Historia uczy, że można żyć i bez takiego komfortu. Nie jesteśmy samolotem w śmiertelnym korkociągu. Zdajmy sobie jednak sprawę nie tylko z tego, że weszliśmy w wiraż, ale i z tego, iż ten wiraż i związane z nim przeciążenia mogą potrwać bardzo długo. Mogą wręcz stać się dla nas nową normalnością.

„Przecież oni odejdą..."

We wszelkich dyskusjach z Rosjanami, w których autor tego tekstu uczestniczył lub które śledził, strona moskiewska z reguły odwoływała się w pewnym momencie do jednego, głównego argumentu: „Zachowujecie się tak, jakby Amerykanie mieli u was być wiecznie. Ale przecież oni odejdą". Epizod zakończony deklaracją Trumpa demonstruje, że choć nie jest to perspektywa oczywista, to zarazem nie jest ona też nieprawdopodobna. A trwałość sojuszu z USA i perspektywa, że w razie rosyjskiej agresji można liczyć na czynną ich pomoc, pojmowaną nie tylko jako dostawy materiałów wojennych, ale jako udział w konflikcie amerykańskich żołnierzy, była dotąd przecież aksjomatem polskiej polityki.

Złamane (czy może raczej: zakwestionowane) zostało też inne, tym razem już jednoznacznie autorstwa obozu Trumpa, założenie. Zawarte

eprasa.pl 028b2d3545

w niezliczonych sugestiach, że ci, którzy (jak np. Polska) poważnie traktują swoją obronę i wydają na nią (najczęściej w amerykańskiej zbrojeniówce) odpowiednio wiele, mogą bardziej niż inni liczyć na wsparcie USA. Tymczasem sam Vance, i nie tylko on, zdaje się mówić coś zupełnie innego. Że mianowicie zwiększenie własnej mocy obronnej ma oznaczać właśnie zmniejszenie na danym odcinku amerykańskiego zaangażowania. Bo nie jest ono już potrzebne.

Oba powyżej opisane założenia, traktowane łącznie, były dla polskiej klasy politycznej czymś tak oczywistym i bezalternatywnym, że choć wiarę w ich realizację można by porównać do konsekwentnego stawiania w ruletce na jeden numer, to kiedy przez kilka dni wydawały się one nieaktualne, polska klasa polityczna zachowywała się jak kura latająca po podwórku z odciętą głową.

***

Wszystko to razem może mieć bardzo daleko idące konsekwencje. Konsekwencje, które Amerykanie albo akceptują, albo których (to chyba bardziej prawdopodobne) na skutek inercji intelektualnej, a po trosze i własnej pychy, do świadomości nie dopuszczają. Albo wreszcie dopuszczają, ale lekceważą. Niejako tradycyjnie, bo jak napisał Henry Kissinger, inaczej niż w wypadku państw europejskich, wiecznie zmuszonych do zastanawiania się, jak nie dopuścić do powstania zagrożeń, zawsze na przestrzeni całej historii Ameryki „połączenie potęgi i dystansu dawało jej pewność, że każdemu wyzwaniu będzie można stawić czoła dopiero po tym, gdy się pojawi".

O jakie konsekwencje chodzi?

Ostatnie lata przyniosły już tyle błyskawicznych i dogłębnych zmian w rozmaitych fundamentalnych kwestiach, że dlaczego mielibyśmy z góry wykluczyć i taką, że Zachód, a więc i Ameryka, może w pewnych okolicznościach utracić naszą część Europy. Utracić przynajmniej w zakresie, w którym uważana jest ona i uważa się za przynależną do niego stuprocentowo.

SOJUSZ Z POLSKĄ NIE JEST W AMERYCE POWSZECHNIE UZNAWANY ZA COŚ OCZYWISTEGO. ZA COŚ ISTOTNEGO DLA SAMEJ AMERYKI.

Mogłoby się tak stać na skutek rosyjskiej akcji wojskowej, do której dotychczasowy gwarant geopolitycznej przynależności regionu do Zachodu mógłby nieświadomie zachęcić Moskwę swoim niekonsekwentnym i sugerującym brak determinacji zachowaniem. Tydzień temu pisałem na tych łamach, że ujawnienie wstrzymania rotacji US Army w Polsce nastąpiło niemal równocześnie z pojawieniem się kremlowskich insynuacji, jakoby atakujące północną Rosję ukraińskie drony startowały z Łotwy, co przez Moskwę może być pomyślane jako pretekst do jakichś działań militarnych. Tym bardziej że narastający w Rosji, również wśród elit, pesymizm i brak wiary w Putina może prowokować tego ostatniego do próby wyjścia z sytuacji drogą awanturniczą.

Ale też taka utrata mogłaby nastąpić na skutek samodzielnej reorientacji państw dotychczasowej wschodniej flanki. Co byłoby możliwe, gdyby doszły one do wniosku, że jakby przyszło co do czego, to na amerykańską pomoc liczyć nie mogą, czy przynajmniej że może być ona wybitnie niepewna. Przecież nawet z zasadniczego wzmocnienia własnych sił zbrojnych nie wynika jeszcze automatycznie decyzja o samodzielnym, a nie w koalicji z supermocarstwem, pójściu na wojnę z drugim supermocarstwem. Ukraina w 2022 roku nie bardzo miała wybór, polityka Rosji była bowiem w oczywisty sposób nakierowana na jej de facto wchłonięcie. Ale jeśli ewentualnemu przekonywaniu się regionu, że nie może liczyć na zbrojną interwencję US Army (przy braku wiary w realność udziału w wojnie państw zachodnioeuropejskich) towarzyszyłaby zręczniejsza i bardziej koncyliacyjna, przynajmniej wobec części państw wschodniej flanki, polityka Moskwy...?

PIERWOTNA, ZMIENIONA PRZEZ TRUMPA DECYZJA WSKAZUJE, ŻE WIĘKSZOŚĆ JEGO OTOCZENIA, MAJĄC WOLNĄ RĘKĘ, WYPROWADZIŁABY WOJSKA Z NASZEGO KRAJU.

To wtedy, sądzę, nic nie byłoby przesądzone.

eprasa.pl 028b2d3545

„Zimny prysznic” z Pentagonu

Polska jeszcze nigdy nie była tak blisko historycznej decyzji o stałej bazie wojsk USA nad Wisłą. Podczas gdy Pałac Prezydencki Karola Nawrockiego buduje bezpośredni most do Donalda Trumpa, Pentagon funduje polskiemu rządowi „zimny prysznic”. W kuluarach coraz głośniej mówi się, że polski premier jest dziś coraz częściej traktowany w Waszyngtonie jak nieformalna persona **non grata**, który jeśli nie zmieni swojej retoryki, może pogrzebać wszelkie plany i obecne starania.

Andrzej Gajcy

Połowa maja przyniosła w Warszawie prawdziwy polityczny wstrząs. Decyzja Pentagonu o wstrzymaniu zaplanowanej wcześniej rotacji 4 tysięcy amerykańskich żołnierzy uderzyła w polskie elity rządzące z siłą gromu. Co najgorsze – nikt w Kancelarii Premiera Donalda Tuska, Ministerstwie Obrony Narodowej kierowanym przez Władysława Kosiniaka-Kamysza, ani w resorcie dyplomacji Radosława Sikorskiego, nie miał pojęcia, co się właściwie stało i jakie ta decyzja pociągnie za sobą konsekwencje.

W obozie władzy wybuchła prawdziwa panika, a próby gaszenia tego dyplomatycznego pożaru tylko obnażyły całkowity brak komunikacji z Waszyngtonem. Rząd w pośpiechu wysłał za ocean wiceministrów obrony Pawła Zalewskiego i Cezarego Tomczyka, by próbowali ustalać szczegóły na miejscu. W tym samym czasie szef MON telefoniczne rozmawiał z sekretarzem wojny USA Petem Hegsethem, uspokajając opinię publiczną, choć w jego wypowiedziach stale wybrzmiewał uderzający fakt: Polska nie została uprzedzona o krokach Amerykanów.

Lekcja pokory z Pentagonu

Prawda o tym kryzysie okazała się wyjątkowo brutalna. Polski rząd o strategicznych decyzjach swojego najważniejszego sojusznika dowiedział się – w co jest ciężko naprawdę uwierzyć – po prostu z przekazów medialnych. Ani z Pentagonu, ani z Białego Domu nie wykonano ani jednego telefonu do premiera, ministra obrony czy szefa polskiej dyplomacji. Zabrakło jakiegokolwiek oficjalnego komunikatu, a milczała nawet amerykańska ambasada w Warszawie. Wiele wskazuje na to, że ten drastyczny ruch miał być celową, polityczną lekcją pokory – swoistym „zimnym prysznicem” dla gabinetu Donalda Tuska. Waszyngton chciał dobitnie pokazać, że cierpliwość nowej administracji Trumpa wobec polskiego premiera i jego gabinetu ma swoje granice.

Dlaczego Amerykanie zdecydowali się na tak demonstracyjne odcięcie kanałów informacyjnych dla polskiego rządu w tak ważnej sprawie? Odpowiedź kryje się w pamięci instytucjonalnej Waszyngtonu, która skrupulatnie odnotowuje każdą publiczną szpilę wbijaną przez polskiego premiera. W Białym Domu wciąż żywe są echa niedawnych wypowiedzi Donalda Tuska, w których podważał on wiarygodność artykułu 5. Traktatu Waszyngtońskiego. Czarę goryczy przelać miał jednak głośny wywiad premiera dla „Financial Times”. Tusk autorytatywnie stwierdził w nim, że Polska nie zamierza „podbierać” amerykańskich żołnierzy wycofywanych z Niemiec.

Premier Tusk „persona non grata” w Białym Domu?

Za oceanem odebrać te słowa miano jako jawne i szkodliwe wchodzenie w paradę planom Donalda Trumpa, który od lat dąży do głębokiego przemodelowania obecności wojskowej w Europie i ukarania Berlina za opieszałość w wydatkach na obronność. Efekt tych napięć jest dziś widoczny gołym okiem: Donald Tusk od początku nowej kadencji Trumpa nie ma wstępu do Białego Domu. Nie ma oficjalnych spotkań, nie ma uścisków dłoni, nie dochodzi nawet do rutynowych rozmów telefonicznych. Premier trzydziestoośmiomilionowego kraju na kluczowej flance NATO stał się w Waszyngtonie postacią całkowicie pomijaną, będąc w Białym Domu kimś na kształt nieformalnej persona non grata.

Nastroje panujące wśród amerykańskich urzędników bez ogródek opisał niedawno szef prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej Marcin Przydacz. Przekazał on brutalnie szczere pytania, jakie padają w kuluarach Pentagonu:

„No jak my mamy przysłać wojska do was, jak wasz premier ciągle nas atakuje? W imię czego mamy to robić?” – pytają wprost amerykańscy decydenci.

eprasa.pl 028b2d3545

Prezydent Nawrocki wiedział, ale nic nie powiedział

Podczas gdy w rządowych gabinetach panował chaos, w Pałacu Prezydenckim odczuć można było całkowity spokój. Prezydent Karol Nawrocki i jego ministrowie ze stoickim spokojem przyglądali się nerwowej reakcji rządu i podejmowanym kolejnym próbom kontaktu z amerykańską administracją i najważniejszymi amerykańskimi wojskowymi. Dodając w publicznych wypowiedziach, że dyplomacja lubi ciszę i spokój. Skąd zatem to opanowanie i pewność siebie?

Wiele wskazuje na to, że prezydent Nawrocki miał wiedzę o tym, co robią Amerykanie, którzy uznać mieli, że miarka się przebrała i że trzeba dać polskiemu rządowi i samemu premierowi srogą lekcję. Z bardzo jasnym przekazem: ataki medialne polskiego premiera i polskiego rządu na amerykańskiego prezydenta muszą się skończyć. To warunek dalszej współpracy i dalszej obecności wojsk amerykańskich w Polsce. W przeciwnym razie konsekwencje będą bardzo wymierne.

Nawrocki ma osobisty numer do Trumpa

To jednak nie koniec złych wiadomości dla rządu i samego premiera Donalda Tuska. Co ciekawe, gdy ministrowie Tuska latali do USA prosić o wyjaśnienia, prezydent Nawrocki nie musiał nawet dzwonić do Białego Domu. Choć dysponuje osobistym, bezpośrednim numerem telefonu do Donalda Trumpa, tym razem z niego miał nie skorzystać. Otoczenie prezydenta stanowczo zaprzecza też medialnym doniesieniom o rzekomej wymianie SMS-ów w tamtych dniach. To tylko potwierdza tezę, że dla Karola Nawrockiego decyzja Pentagonu nie była żadnym zaskoczeniem. Prezydent z boku obserwował precyzyjnie zaplanowaną akcję Waszyngtonu.

Fot. Adobe Stock

Wpis na Truth Social: 5 tysięcy żołnierzy jako polityczna premia

Potwierdzenie tej zakulisowej dynamiki nadeszło najszybszą i najbardziej bezpośrednią drogą – poprzez osobisty wpis Donalda Trumpa na platformie Truth Social. Amerykański prezydent jednym ruchem całkowicie odwrócił kartę, pisząc:

„W związku z pomyślnym wynikiem wyborów obecnego prezydenta Polski, Karola Nawrockiego, którego z dumą poparłem, oraz biorąc pod uwagę nasze relacje z nim, mam przyjemność ogłosić, że Stany Zjednoczone wyślą do Polski dodatkowe 5 tys. żołnierzy. Dziękuję za uwagę!”.

Ten krótki komunikat rzucił polską dyplomację rządową na kolana i był jak srogi policzek wymierzony w rząd Donalda Tuska. Z jednej strony Pentagon oficjalnie wstrzymywał rotację 4 tysięcy ludzi, z drugiej – prezydent USA osobiście obiecał 5 tysięcy kolejnych, ale jednoznacznie definiując to jako polityczną premię za zwycięstwo Karola Nawrockiego. To brutalne, ale chirurgicznie precyzyjne rozegranie wewnętrznych napięć w Polsce przez Waszyngton. Amerykańska administracja dała jasno do zrozumienia, że nie zamierza legitymizować Donalda Tuska, dopóki ten nie zweryfikuje swojej retoryki. To także twardy dowód na to, że Amerykanie wybrali sobie jednego, wiarygodnego partnera do rozmów nad Wisłą – prezydenta Rzeczypospolitej.

Obecnie resort obrony oraz Pałac Prezydencki muszą wspólnie rozszyfrować techniczną stronę tej deklaracji Trumpa. W kuluarach Pentagonu trwają szczegółowe negocjacje: czy obiecane 5 tysięcy mundurowych to zupełnie nowe siły zwiększające ogólny stan posiadania, czy jedynie mechanizm łatania dziur i zastępowania jednostek, które właśnie opuszczają Polskę. Tego dziś tak naprawdę w Polsce nikt nie wie. Stąd ta kwestia pozostaje kluczowym przedmiotem bieżących ustaleń, w których uczestni-

eprasa.pl 028b2d3545

czyć mają wspólnie zarówno MON, jak i Kancelaria Prezydenta.

Kongres popiera Fort Trump

Pomimo tego politycznego teatru na głębszym poziomie toczą się procesy o fundamentalnym znaczeniu dla naszego bezpieczeństwa narodowego. Sukcesywne wycofywanie się militarne USA z głębi Europy (przede wszystkim z Niemiec) jest już nieodwracalnym faktem geopolitycznym. Jednak to właśnie Polska – w oczach Waszyngtonu – ma stać się nowym europejskim centrum dla sił odstraszania przed atakiem Rosji na jakiekolwiek państwo NATO. Co istotne, w tej jednej sprawie rząd i prezydent mówią wreszcie nieoficjalnie jednym głosem: celem są stałe bazy wojskowe.

I Amerykanie tę ofertę ostatecznie przyjęli. Gra nie toczy się już tylko o tymczasową, rotacyjną obecność pododdziałów. Polska położyła na stole propozycję, która całkowicie zmienia reguły gry – zadeklarowaliśmy pełną gotowość sfinansowania i wybudowania całej infrastruktury niezbędnej do stałego stacjonowania żołnierzy wraz z ich rodzinami. Jak otwarcie przyznał wiceszef MON Paweł Zalewski na łamach „The Washington Post":

„Będziemy musieli zbudować małe miasto z całą niezależną infrastrukturą dla stałej obecności. Jesteśmy gotowi, by to zrobić".

Powstanie amerykańskiej stałej bazy wojskowej na naszej ziemi to najlepsza, namacalna polisa ubezpieczeniowa. Jakikolwiek atak na Polskę stałby się wtedy automatycznie bezpośrednią wojną ze Stanami Zjednoczonymi.

Najlepszym dowodem na to, że sprawa w USA traktowana jest naprawdę poważnie, jest opublikowany pod koniec maja, liczący 500 stron, projekt amerykańskiej ustawy o wydatkach na obronność (NDAA). Kongres USA wprost wyraził w nim dezaprobatę dla wcześniejszych decyzji Pentagonu o wstrzymywaniu wysyłki brygady pancernej nad Wisłę. Amerykańscy ustawodawcy idą znacznie dalej: nie tylko naciskają na stałą obecność brygady pancernej w Polsce, ale też sugerują rozmieszczenie u nas batalionu artylerii dalekiego zasięgu (Long Range Fires Battalion). Mowa tu o sprowadzeniu potężnej siły ognia – rakiet Tomahawk i SM-6, które pierwotnie miały stacjonować w Niemczech. Dowódca sił USA i NATO w Europie otrzymał sztywny termin do 1 października na przedstawienie niezależnej oceny ryzyka oraz gotowości infrastrukturalnej Polski do przyjęcia tego arsenału.

Czas na ponadpolityczny konsensus

Polska stoi zatem przed historyczną szansą, która zdefiniuje architekturę bezpieczeństwa w tej części Europy na całe pokolenia. Amerykański Kongres pisze ustawy pod stałe bazy, Donald Trump deklaruje tysiące żołnierzy, a polskie MON deklaruje budowę amerykańskich miast garnizonowych. Wszystkie te precyzyjnie układane klocki mogą jednak runąć, jeśli polska klasa polityczna nie wyjdzie z destrukcyjnego politycznego klinczu.

Donald Tusk musi zrozumieć, że brukselskie czy salonowe gry z czasów europejskich nie działają w realiach twardej, transakcyjnej polityki Donalda Trumpa. Z kolei Pałac Prezydencki nie może traktować swoich uprzywilejowanych relacji z Białym Domem wyłącznie jako narzędzia w wewnętrznej walce politycznej z rządem. Jeśli personalne animozje i brak elementarnej koordynacji na linii premier – prezydent zablokują proces, który właśnie z trudem pilotuje Pentagon, historia nam tego nie wybaczy. Amerykańskie rakiety i czołgi potrzebują w Warszawie jednego, stabilnego i przewidywalnego partnera – a nie dwóch skłóconych obozów, z których jeden jest w Waszyngtonie dziś demonstracyjnie ignorowany.

eprasa.pl 028b2d3545

KULTURA

Nie muszę być kochana PRZEZ WSZYSTKICH

Fot. materiały prasowe

– Nie umiem być kimś innym, niż jestem. Mam wrażenie, że internet często wymaga grania jakiejś roli i ciągłego wymyślania siebie na nowo. Nie chcę robić z siebie błazna tylko po to, żeby zwiększyć zasięgi – mówi **Baddie 404**, wokalistka, autorka tekstów, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

– Baddie 404 – już sam pseudonim brzmi jak komunikat o błędzie systemu. Mam wrażenie, że wchodzisz do branży muzycznej jako ktoś, kto nie chce się dopasować. To jest celowe?

– Wiesz co, ja chyba po prostu nigdy nie umiałam się dopasować. Każdy z nas jest jakimś błędem, tylko

eprasa.pl 028b2d3545

Nowy singiel Baddie 404 „**Puste lekcje**” to mroczna, elektroniczna opowieść o „lekcjach”, które miały nas czegoś nauczyć, a zostawiły tylko pytania. „Czy dalej wierzysz, że sens przesłoni lęk?” – to zdanie wybrzmiewa jak echo w świecie, który właśnie się rozpada.

większość ludzi próbuje to ukryć albo zamaskować. A ja nie mam potrzeby udawania, że wszystko jest idealnie. Nie kalkuluję też tego, czy moje wypowiedzi albo sposób bycia będą się wszystkim podobały. Dzisiaj wielu artystów bardzo uważa na to, co mówi, bo boi się utraty odbiorców, kontraktów czy zasięgów. Ja tak nie działam.

– Ale to dość ryzykowne podejście. W dzisiejszych czasach większość artystów analizuje każdy ruch marketingowo.

– Pewnie tak, ale ja się nad tym po prostu nie zastanawiam. Nie myślę kategoriami strategii, grup docelowych czy tego, co będzie bardziej „klikalne”. Robię muzykę tak, jak ją czuję. Dla mnie to jest naturalne. Może jestem przez to trochę oderwana od tego świata, ale nie potrafię inaczej.

MAM NA TYLE SILNY CHARAKTER I MOCNY KRĘGOSŁUP MORALNY, ŻE LUDZIE WYCZUWAJĄ, ŻE TRUDNO MNIE USTAWIĆ.

– No właśnie, bo z jednej strony masz bardzo charakterystyczne wizerunek i osobowość, ale z drugiej – rynek muzyczny jest dziś przepełniony. Co według Ciebie wyróżnia Twoją artystyczną odsłonę Buddy 404?

– Szczerze? Nie analizuję tego. Nigdy nie siedziałam i nie zastanawiałam się, co mam zaoferować ludziom jako „produkt”. Ja po prostu wiem, kim jestem. Dla mnie najważniejsze jest to, żeby emocja się zgadzała. Nawet gdybyś zaczął mnie pytać o techniczne rzeczy w muzyce, o przejścia akordów czy produkcję, to ja Ci na to pytanie nie odpowiem, bo mnie bardziej interesuje prawda emocjonalna niż technika.

– To bardzo mało marketingowe podejście jak na 2026 rok.

– Możliwe. Może jestem bardzo do przodu albo bardzo do tyłu. Nie wiem. Ale mam poczucie, że dzisiaj wszyscy próbują być wykalkulowani i przewidywalni, a mnie to trochę męczy.

– Spotykamy się między innymi z powodu Twojego nowego singla „Puste lekcje”. Co kryje się za tym tytułem?

– Dla mnie „puste lekcje” to sytuacje, kiedy ktoś próbuje cię czegoś nauczyć, pokazać ci, „jak powinno być”, a finalnie okazuje się, że jedyne, czego się wówczas uczysz, to tego, żeby dalej robić swoje. Wiele razy słyszałam różne rady, sugestie czy próby ustawiania mnie, ale one ostatecznie niewiele zmieniały.

– Branża próbowała Cię zmieniać? Podpowiadać, jak powinnaś funkcjonować jako artystka?

– Wiesz co, chyba mam na tyle silny charakter i mocny kręgosłup moralny, że ludzie wyczuwają, że trudno mnie ustawić. Nie miałam wielu sytuacji, w których ktoś próbował mnie prowadzić za rękę. Może też dlatego, że jestem dość specyficzna i nie sprawiam wrażenia osoby, którą łatwo przekonać do czegoś wbrew niej samej.

– Ale czy przez to nie cierpisz? Nie mam na myśli tylko muzyki, ale też zwykłego funkcjonowania.

– Pewnie czasami tak. Tylko że ja już dawno przestałam się zastanawiać nad tym, czy byłoby mi łatwiej, gdybym była bardziej „normalna” albo bardziej dopasowana. Widocznie taka jest moja droga.

– Zastanawia mnie też to, że mimo mocnego głosu, wyrazistej osobowości i charakterystycznego stylu funkcjonujesz bardziej wokół alternatywy niż mainstreamu.

– Może po prostu jeszcze nie powstał nurt, w którym byłoby dla mnie miejsce. Wierzę, że wszystko ma swój moment. Może mój czas dopiero przyjdzie, a może nigdy nie nadejdzie. I naprawdę jest mi z tym OK.

– Powiedziałaś też coś bardzo ważnego – że muzyka nie jest Twoim głównym źródłem utrzymania.

– Tak, i myślę, że to daje mi ogromną wolność. Nigdy nie chciałam traktować muzyki wyłącznie jako sposobu na zarabianie pieniędzy. Bałam się, że wtedy zaczęłabym robić rzeczy niezgodne ze sobą tylko po to, żeby coś osiągnąć. Dlatego zawsze miałam plan B. Dla mnie najważniejsze jest to, żeby muzyka była prawdziwa.

– W nowym materiale mocno skręcasz w stronę elektroniki i klimatu postapo. Skąd taki kierunek?

– Wystarczy rozejrzeć się dookoła. To, co dzieje się na świecie i między ludźmi, jest momentami bardzo przygnębiające. Ale dla mnie

eprasa.pl 028b2d3545

katastrofa zawsze zaczyna się od środka. Najpierw rozpada się człowiek, dopiero później rozpada się świat wokół niego.

– Miałaś w sobie takie poczucie katastrofy?

– Chyba od dziecka. Zawsze miałam poczucie niezgody na rzeczywistość i na zasady gry, które obowiązują. Nigdy nie czułam się do końca częścią tego świata.

– Może właśnie dlatego Twoja muzyka nie jest oczywista dla masowego odbiorcy?

– Możliwe. Ale ja nigdy nie oczekiwałam, że wszyscy mnie zrozumieją albo pokochają. Jestem specyficzną osobą i nauczyłam się z tym żyć. Za to bardzo doceniam ludzi, którzy naprawdę rezonują z moją muzyką i energią.

– Czujesz presję jako artystka?

– Tak, ale bardziej wewnętrzną niż zewnętrzną. Mam potrzebę ciągłego tworzenia. Muszę wyrzucać z siebie emocje – na papier, do muzyki, gdziekolwiek. To jest moja największa presja.

– Przez lata kojarzyłem Cię bardziej z gitarowym graniem. Skąd zwrot w elektronikę?

– Byłam zmęczona ścianą gitar i ciągłym przebijaniem się przez hałas. Elektronika dała mi przestrzeń i poczucie wolności. Poczułam, że mogę oddychać i nie muszę już cały czas krzyczeć, żeby zostać usłyszaną.

– Dużo mówisz o wolności. Jak dziś wygląda Twoja relacja ze sobą samą?

– Kiedyś było mi ze sobą bardzo trudno. Jako dziecko bardzo źle znosiłam swoją inność. Z czasem jednak nauczyłam się akceptować siebie i swoje demony. Zrozumiałam, że im bardziej próbuję z nimi walczyć, tym bardziej one walczą ze mną. Dzisiaj już nie walczę. Po prostu akceptuję, że są częścią mnie.

KIEDYŚ BYŁO MI ZE SOBĄ BARDZO TRUDNO. JAKO DZIECKO BARDZO ŹLE ZNOSIŁAM SWOJĄ INNOŚĆ. Z CZASEM JEDNAK NAUCZYŁAM SIĘ AKCEPTOWAĆ SIEBIE I SWOJE DEMONY.

– Wróciłabyś jeszcze do talent show?

– Myślę, że dziś to już nie ma tej samej siły co kiedyś. Jest ogromny przesyt wszystkiego. Dawniej takie programy mogły naprawdę coś zmienić, dziś mam wrażenie, że bardzo szybko produkują i bardzo szybko zapominają.

– Nigdy nie myślałaś, żeby bardziej wejść w świat influencerów i internetu?

– Kompletnie się do tego nie nadaję. Nie umiem być kimś innym, niż jestem. Mam wrażenie, że internet często wymaga grania jakiejś roli i ciągłego wymyślania siebie na nowo. Nie chcę robić z siebie błazna tylko po to, żeby zwiększyć zasięgi.

– A co myślisz o odsłonięciu życia prywatnego dla większej popularności?

– Moje życie prywatne jest moje. Chociaż z drugiej strony – wszystko, co tworzę i mówię, i tak jest bardzo osobiste. Muzyka jest przedłużeniem mojego życia.

– Gdybyś miała zostawić jeden komunikat ludziom, którzy dopiero poznają Buddy 404, co byś powiedziała?

– Że będzie dużo emocji, dużo krzyku i dużo rzeczy nieoczywistych. Można się w tym pogubić, ale później można też odnaleźć siebie.

Baddie 404

to psychodeliczna artystka poruszająca się między elektroniką, alternatywą i mroczną narracją wizualną. Szerszej publiczności dała się poznać dzięki udziałowi w programie „X Factor" oraz półfinale IV edycji „Must Be the Music. Tylko muzyka", gdzie zwróciła na siebie uwagę wyrazistą osobowością sceniczną i nieoczywistym brzmieniem.

W kolejnych latach konsekwentnie budowała własny świat muzyczny. Utwór „Bile Bur Gorne" stał się motywem przewodnim serialu „Kossakowski. Szósty zmysł". W 2017 roku wydała album „Sz...Sz...Sz...", z którego „Diament Mój" trafił do czołówki serialu „Złomowisko PL" (Discovery Channel). W 2024 roku stworzyła utwór „About Me", wykorzystany w serialu true-crime „Król Zanzibaru" (HBO MAX).

Na swoim koncie ma również Nagrodę Dziennikarzy Baltic Festival, występ w Debiutach na Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu oraz tytuł największej osobowości scenicznej Rzeszów Carpathia Festival.

Dziś jako Baddie w projekcie Baddie 404 wchodzi w nowy, bardziej dojrzały etap – łącząc chłodną elektronikę z emocjonalną narracją i filmową estetyką.

eprasa.pl 028b2d3545

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Cezary Krysztopa

I'll be back

Zawsze starałem się żyć aktywnie. To znaczy nie zawsze. Jako dziecko dużo chorowałem i więcej czasu spędzałem „na chorobie" w domu niż w szkole. A był również taki okres, kiedy przezywano mnie „gruby".

No i w wieku lat, nie pamiętam dokładnie, może czternastu, zacząłem się odchudzać, co biorąc pod uwagę częstość chorowania, było z mojej strony dość głupie. W dodatku niedługo po tym, jak skończyłem 15 lat i zdałem egzaminy do liceum, zmarła moja Mama, co sprawiło, że zawalił mi się świat, i w efekcie, kiedy szedłem do pierwszej klasy LO, wyglądałem jak 12-letni kosmita.

Trochę mi zeszło, zanim się pozbierałem, ale wydaje się, że byłem w tym dość konsekwentny. Zacząłem ćwiczyć, biegać. Najpierw byłem w stanie przebiec może ze 100 metrów, potem 200, a potem biegałem po 20 kilometrów dziennie. Bywało, że rodzina się na mnie obrażała, bo po Wigilii nakładałem kozaki (nie miałem wtedy żadnych butów do biegania) i szedłem biegać po nocy w mróz i śnieg. Po jakimś czasie przestałem chorować, a jesienią, kiedy wszyscy chodzili już w kurtkach, ja chodziłem w koszuli, bo było mi ciepło, a było to o tyle łatwiejsze, że jesiennej kurtki zwyczajnie nie miałem.

I od tamtej pory nie umiem żyć inaczej. Mam dużo pracy siedzącej, ale staram się też biegać (od lat są to bardziej marszobiegi – choć mam już buty do biegania, to jednak bieganie w byle czym i byle po czym przez grubo już ponad 30 lat zostawiło swoje ślady w stawach) i na różne sposoby ćwiczyć. To mi daje nie tylko poczucie sprawności i – powiedzmy – pewnego rodzaju powstrzymywania upływu czasu, ale również jasności umysłu. Chyba nie umiem już bez tego żyć.

No i jakieś dwa lata temu przydarzyła mi się kontuzja. Na treningu krav magi (ciężkim, ale zupełnie amatorskim) kolega złożył mi kolano w niewłaściwym kierunku. Nie mam do niego pretensji, ot, głupi błąd. Od tamtej pory sprawy się skomplikowały. Liczyłem na to, że się tam wszystko pozrasta i będzie dobrze, ale potrzebna była operacja.

Efekt jest taki, że od iluś miesięcy, a od kilku tygodni po operacji szczególnie, jestem mocno unieruchomiony. To, że bardzo brakuje mi ruchu fizycznie, to jedno. Nie chcę wchodzić w szczegóły, ale naprawdę bardzo. Gorzej, że mocno mnie to również spowalnia w pracy. Nie tylko dlatego, że nawet przejście z pokoju do pokoju zajmuje mi więcej czasu, ale również dlatego, że brak ruchu, brak tlenu przyćmiewa mi umysł.

A po co Wam to piszę? Ano po to, żebyście się na mnie nie gniewali. Coraz więcej osób pyta, gdzie się podziałem. W sumie nigdzie, ale sam widzę, że jestem w stanie przerobić mniej informacji niż kiedyś, jestem mniej twórczy, nie jestem w stanie ogarnąć wszystkich kanałów komunikacyjnych, które sam otworzyłem, więc mi wybaczcie. To nie jest efekt „zadzierania nosa".

Jednocześnie jednak z natury jestem uparty jak osioł. I zrobię wszystko, żeby wrócić i wkurzać jak wcześniej. I'll be back;)

eprasa.pl 028b2d3545

KIM JEST mój tata

Proj. K. Karnkowski

Dzieci to nasz skarb narodowy. Szczególnie teraz, gdy rodzi się ich za mało. A skoro nie wszyscy rodzice otaczają potomków należytą uwagą, miłością i respektem, zróbmy to **odgórnie**.

Monika Małkowska

Najmłodszym nadano prawa w Konwencji o prawach dziecka, ratyfikowanej przez Polskę w 1991 r. Ustalono też Dzień Praw Dziecka – 20 listopada. Tej daty pewnie nie zna większość, ale każdy wie, że pierwszego dnia czerwca fetujemy Międzynarodowy Dzień Dziecka, święto ustanowione przez ONZ w 1954 r., a w Polsce i innych krajach socjalistycznych obchodzone już cztery lata wcześniej, od 1950 r. Nie była to jednak komunistyczna idea. Od 1929 r. obchodzono Święto Dziecka 22 września, z którą to inicjatywą wystąpił Polski Komitet Opieki nad Dzieckiem.

Czego brak do szczęścia

Współcześnie bezdzietność to dla wielu stan błogosławiony. Jednak bywa, że zamożni a bezdzietni ludzie nagle odkrywają, że do szczęścia brakuje im tylko progenitury. Toteż żeby sobie zapewnić zstępnych, bezpotomni bogacze zasponsorowali badania, które doprowadziły do tego, o czym znów gorąco dyskutujemy – o prokre-

eprasa.pl 028b2d3545

acji w kontekście małżeństw jednopłciowych. Po raz pierwszy do pozaustrojowego zapłodnienia doszło w Wielkiej Brytanii, gdzie 25 lipca 1978 r. urodziła się niejaka Louise Brown. Dziewięć lat później podobny cud zdarzył się w białostockim szpitalu, gdzie po cesarskim cięciu powitano Magdusię, kolejną panienkę in vitro. Od tego czasu na świecie pojawiło się ponad 13 milionów maleństw spoza tradycyjnego zapłodnienia. Ta metoda wsparcia leczenia niepłodności stała się też popularna w Polsce – w ramach rządowego programu Ministerstwa Zdrowia w samym 2025 r. urodziło się ponad 10 000 nowych obywateli III RP. Co zabawne – dokładnie tyle samo chłopaków i dziewczyn. Czy jak dorosną, zejdą się w pary, a jeśli, to jakie?

O jeden krok za daleko

Program in vitro, wspierający pary leczące się na bezpłodność, dał zielone światło przeobrażeniom prawno-moralnym. Bo oto wiosną br. Naczelny Sąd Administracyjny wydał wyroki nakazujące urzędom stanu cywilnego akceptację zagranicznych aktów małżeństw jednopłciowych przez wpisanie ich do polskich rejestrów. Co to oznacza dla dzieci? Lansowana jest koncepcja, według której rodzicami mogą być pary jednopłciowe. Walczy o to m.in. Bart Staszewski, aktywista LGBT. W tym samym duchu wypowiada się europoseł Krzysztof Śmiszek, od 20 lat partner Roberta Biedronia, także opowiadającego się za adopcją dzieci przez jednopłciowców. Argumentem jest… szczęście dziecka, a raczej „ratowanie go” z domu dziecka. Gejowskie pary/małżeństwa mają rzekomo „zaopiekować się” dzieckiem i zapewnić mu coś na kształt rodziny. Bo podobno dla malucha nie jest ważny skład familii ani jej płeć, tylko to, czy jej członkowie akceptują go, kochają, poświęcają mu czas. A skąd jednopłciowcy mają zagwarantować sobie potomstwo? Z adopcji lub z probówki. O ile ta pierwsza możliwość ma starożytną proweniencję i nie zagraża psychicznymi konsekwencjami, o tyle druga metoda nastręcza wiele wątpliwości etyczno-emocjonalno-zdrowotnej natury.

Adopcyjny awans

Dobra, przywołajmy starożytnych. Już w cesarskim Rzymie istniały dwie formy przysposabiania dzieci z jednej rodziny pod władzę głowy innej familii. Ten proces nie miał nic wspólnego z otaczaniem opieką sierot, tylko łączył się z awansem społecznym. Adoptowano bowiem nie maluchy, lecz dorosłych mężczyzn, dobrze rokujących na zabezpieczenie interesów politycznych i finansowych patrycjuszowskich rodzin.

JAK MOŻNA ZAMIENIĆ W BAJKĘ NARODZINY POTOMSTWA ZE SZTUCZNEGO ZAPŁODNIENIA?

Do tej „premii” wybierano najzdolniejszych, najbystrzejszych i najsilniejszych młodzieńców, którzy dzięki swym przymiotom zyskiwali takie samo prawa dziedziczenia i status społeczny, jak rodzone dzieci z ich nowej rodziny. Formuła „adoptio” dotyczyła osób młodszych, wciąż podlegających władzy ojcowskiej z „urodzenia”, jednak z powodów praktycznych przekazanych nowej rodzinie. Ceremonia „adoptowania” odbywała się wobec pretora lub namiestnika. Ze zdaniem delikwenta nikt się nie liczył, choć ten już swój rozum miał. Nowy „rodzic” musiał być – zgodnie z prawem – starszy o co najmniej 18 lat od adoptowanego, czyli o różnicę jednego pokolenia. I tu uwaga: adopcja była narzędziem władzy dla cesarzy. Druga adopcyjna procedura – „arrogatio” polegała na przyjęciu do rodziny osób dorosłych, już nie podlegających ojcowskiej władzy. Do tego trzeba było zgody kapłanów oraz zgromadzenia ludowego, jako że takie wydarzenie zmieniało status nie tylko „bohatera”, lecz całej rodziny adoptowanego. Jeśli młodzian przechodził z domu plebejskiego do patrycjuszowskiego, nie tylko on, lecz cała familia automatycznie była nobilitowana. Kto by nie chciał takiego zaszczytu?

Ciche i urocze

Przeskoczmy do bliższych nam czasów. Przez długie wieki pacholęta miały być widoczne, lecz niesłyszalne („be seen, but not heard”). To przysłowie pochodzi z XV-wiecznej Anglii i sugeruje, że pociechy nawet z najzacniejszych rodzin nie miały praw przynależnych dorosłym. Metody wychowawcze bardziej przypominały musztrę niż skupienie się na emocjonalno-fizyczno-intelektualnych potrzebach czy możliwościach dzieciaka. Matkę, ojca cmokało się w dłoń na dobranoc lub przy innych oficjalnych okazjach, cały ciężar wychowania spoczywał zaś na niańkach, wychowawcach, edukatorach z wybranych dziedzin potrzebnych w dorosłym życiu malca, którego przyszłość wyznaczała pozycja społeczna. Małoletni potomkowie stawiali się na uroczystościach rodzinnych ubrani w paradne stroje, demonstrowali kindersztubę i znikali. Nieliczne wizerunki małolatów z najlepszych europejskich rodów powstały z… matrymonialnych

eprasa.pl 028b2d3545

powodów. Diego Velazquez kilkakrotnie portretował słodką blondyneczkę infantkę Margueritę Habsburg, żeby zachęcić do niej najbardziej wpływowych kawalerów ówczesnej Europy. I na co jej przyszło? Na mariaż ze swym wujem cesarzem Leopoldem I Habsburgiem, kiedy panna zaliczyła 15. rok życia. Co wam będę mówić, dobrze się to nie skończyło – śliczna Małgosia pierwsze dzieciątko powiła, mając lat 16 (niemowlę nie przeżyło roku); druga córka dożyła aż 23 lat; trzecie maleństwo zmarło w dniu rodzin, gdy mama miała lat 19; wreszcie trzeci potomek, wydany na świat w 21. wiośnie życia Marguerity, „zaliczył" kilkanaście dni życia. Ona sama zeszła cicho – zmarła w kolejnym połogu, mając 22 lata. Można powiedzieć – dzieci poświęcano dla dzieci.

Nie rusz, Andziu

Przez wieki nie zważano na potrzeby wynikające z osobowości czy różnic adaptacyjnych dzieciaków, toteż nie indywidualizowano form nauki i wychowywania. To, co uznano za dobre i słuszne, należało – teoretycznie – zastosować wobec wszystkich. Pewną zmianę przyniosła epoka oświecenia. Rewolucją edukacyjną wydawały się krótkie wierszyki-moralitety autorstwa Stanisława Jachowicza (1796–1857), który w krótkich utworkach, rymowanych tak, że można je było zapamiętać po jednej/dwóch lekturach, przemycał rady przydatne na każdym etapie rozwoju. Bohaterami tych wierszyków były nieposłuszne (i słusznie ukarane) dzieci bądź zwierzątka obdarzone negatywnymi cechami charakteru. „Nie rusz Andziu tego kwiatka/Róża kole, rzekła matka./Andzia mamy nie słuchała,/ukłuła się i płakała". Trudno nie dostrzec pewnej satysfakcji autora (i jego entuzjastów) płynącej z ukarania niesubordynowanej dziewczynki przez... sam obiekt. Czyli właściwie bez interwencji rodzicielki, samą siłą sprawczą natury.

Nowa historia

Wszystko zmieniło się na przełomie XIX i XX wieku wraz z pojawieniem się nauki zwanej psychologią.

PO RAZ PIERWSZY DO POZAUSTROJOWEGO ZAPŁODNIENIA DOSZŁO W WIELKIEJ BRYTANII, GDZIE 25 LIPCA 1978 R. URODZIŁA SIĘ LOUISE BROWN.

Ta wiedza zdobywana empirycznie sfokusowana jest na różnych grupach społecznych i rozmaitych aspektach ich funkcjonowania. W tej „przestrzeni" pojawiają się różne teorie na temat szczęśliwego dzieciństwa. I całkowicie rozbieżne koncepcje co do metod wychowawczych. Jednak przez stulecia uważano, że „wiek rozumu" zaczyna się od siódmego roku życia, co funkcjonuje w większości krajów do dziś. Przecież właśnie siedmiolatki zaczynały/ją naukę w szkołach. Nie jest prawdą, że namysł nad kolejnymi etapami rozwoju dziecka i rozważania, jak do nich dostosować formy wychowawcze, to wynalazek współczesności. Już średniowieczne traktaty pedagogiczne poświęcały wiele uwagi kolejnym stadiom rozwoju osobowości i wzrastającym umiejętnościom na przyswajaniu wiedzy.

Nieromantyczny romans

Swoją drogą, dlaczego maluchy miałyby być przynoszone przez bociany lub można je znajdować w kapuście? Te fantasmagorie zasługują na osobną antropologiczną analizę, jednak w przeszłości służyły odwróceniu uwagi zbyt dociekliwych dzieciaków, które pragnęły dowiedzieć się, skąd wzięły się na świecie. I dlaczego tatuś i mamusia obdarzają się innymi pieszczotami, niż częstują dzieci. Tak czy siak, zaciekawienie nieletnich krążyło wokół tajemnic anatomii i biologii oraz seksu. Zastanawiam się, jak można zamienić w bajkę narodziny potomstwa ze sztucznego zapłodnienia? Już w samym opisie, a tym bardziej w procesie, brzmi to i wygląda brutalnie, bez cienia romantyzmu. Kojarzy mi się z hodowlą nierogacizny. Inseminacja bowiem to wprowadzenie do jamy macicy kobiety w okresie owulacji odpowiednio przygotowanego (laboratoryjnie) nasienia. Plemniki dzięki temu mają łatwiej, nie napotykają na naturalne bariery i mają lepsze szanse na szczęśliwe zakończenie swej misji.

Kto bogatemu zabroni

Była taka miłość: Annie Leibovitz (wzięta i bogata fotografka – portrecistka gwiazd) zakochała się w filozofce Susan Sontag na śmierć i życie. Był rok 1988; Annie miała 39 lat, jej „wybranka" 55. Związek typu „miłość/nienawiść"; uwielbienie/pogarda przetrwał do końca życia naukowczyni. Przez 15 lat Annie znosiła upokorzenia, a nade wszystko finansowała fanaberie swej oblubienicy. Jako partnerki często rozmawiały o dziecku. Sontag miał syna Davida, jeszcze z „biseksualnych" lat. I to właśnie tenże David miał być dawcą spermy, dzięki której Annie zaciążyła. Małą Sarah urodziła z ce-

eprasa.pl 028b2d3545

sarki w 2001 r.; Annie miała wtedy 51 lat. Susan przecinała pępowinę, uważając się za matkę/babcię nowo narodzonej. Jednak kolejne dzieci Leibovitz, które miały podtrzymać miłosną więź obu pań, przyszły na świat już po śmierci filozofki. Dwie kolejne dziewczynki-bliźniaczki mamy Leibovitz, Susan (na cześć Sontag) i Samuelle (na pamiątkę papy Annie, Samuela), urodziły się w 2005 r. z matki surogatki. Podobnie „niebiologiczne" potomstwo posiada słynny pop singer Elton John ze swym partnerem/mężem Davidem Furnishem. Rocket Man został „papciem" w wieku grubo ponad sześćdziesiątkę, a dzieciaki (dwóch synów: Zachary, urodzony w 2010 r., i Elijah, 2013), zostali powici dzięki tej samej matce zastępczej z Kalifornii. Kiedy patrzy się na zdjęcia „szczęśliwej rodziny", uderza sztuczność pozowanych uśmiechów, która aż boli. Bo choć „potomstwo" może jeszcze nie zdaje obie sprawy z tego, kto jest ich prawdziwą matką, w wieku nastoletnim zacznie im zgrzytać jakiś fałsz. Poczują, że pojawili się na świecie wbrew prawom przyrody.

Kim są moi rodzice

Ponad 15 lat temu obejrzałam film „Wszystko w porządku" (2010) Lisy Cholodenko, gdzie para „małżonek" lesbijek (brawurowo granych przez Annette Bening i Julianne Moore) wychowuje dwójkę dzieci z probówki (od tego samego dawcy). Dzieciaki bardzo szybko kumają, że coś u nich w rodzinie nie gra. W nastoletnim wieku pragną poznać prawdę i biologicznego tatę. A że udaje im się go namierzyć i nawiązać fajną więź oraz poczuć coś jakby wzajemne emocje ojca i dzieci (choć z probówki), ten nieoczekiwanie pozytywny kontakt zaczyna być problemem dla... jednej z mam, a raczej tej dominującej w układzie, przeznaczającej sobie rolę mamo-taty. To był jeden z bolesnych przykładów emocjonalno-poznawczego rozjazdu doświadczanego ze strony coraz bardziej świadomych małolatów. Jednak tu jeszcze nie oglądaliśmy tragedii. Do takowej dochodzi, gdy surogacja zamienia się w handel żywym towarem.

DOCHODZI DO TRAGEDII, GDY SUROGACJA ZAMIENIA SIĘ W HANDEL ŻYWYM TOWAREM.

HOMOPARY CO I RUSZ KORZYSTAJĄ Z SUROGATEK POCHODZĄCYCH Z BIEDNIEJSZYCH KRAJÓW ŚWIATA.

Żywe inkubatory feminizmu

Nie mogę skleić w jedność dwóch postaw, w moim przekonaniu sprzecznych, a jednak współistniejących w obozie lewicy. Z jednej strony mamy kolejną falę feminizmu, w jego nieznośnie zafałszowanej a propagandowej wersji, według której paniom należy się rekompensata za setletnie upokorzenia, zacofanie, brak dostępu do wiedzy i kariery. I jednocześnie nikt z lewej strony nie ma nic przeciwko największej potworności i wykorzystywaniu kobiet ze względu na ich biologię. Tak, chodzi o surogatki. Od dawna mam z tym kosę, bo czytałam/oglądałam relacje o konsekwencjach tego procederu. Ale nawet bez reportaży umiem sobie wyobrazić tragedię kobiet, które dla zarobku godzą się posłużyć za żywe inkubatory dla czyjegoś płodu. To na ogół nie kończy się dobrze. Niby kontrakt jest znany obydwu stronom, jednak na ogół matko-surogatki nie są świadome (bo i skąd?) psychiczno-emocjonalnych skutków „transakcji". Potem nie chcą oddać dzieci, szukają z nimi kontaktu (choć to zabronione), podglądają, stalkują je. Cierpią.

Handel świeżym różowym ciałkiem

O tym w Polsce jeszcze cicho – natomiast w Niemczech (i innych bogatych krajach Zachodu) coraz częściej mówi się o komercjalizacji surogacji. Homopary co i rusz korzystają z surogatek pochodzących z biedniejszych krajów świata. Na plan pierwszy wysuwa się Ukraina – dziewczyny stamtąd są białe, młode, zdrowe i... łase na kasę oraz bez moralnych oporów. Za nimi plasują się „łonodajki" z Meksyku, USA (biedoty) i Gruzji. U tych kobiet dziecko zamawiane jest jak produkt: taka płeć, taka rasa, takie cechy. A jak „produkt" nie spełnia wymagań? Na śmietnik z nim. Dosłownie. Przykład z niedawna: matka surogatka powiła bliźnięta, ale „zamawiający" zgłosił potrzebę tylko na jedynaka. Trzeba było zredukować dwoje noworodków do sztuk jeden. Kobieta (oczywiście biedna, z kraju, w którym nie miała żadnej opieki), wyraziła zgodę. Jak tego dokonała? Wolę nie wiedzieć. A Wy?

eprasa.pl 028b2d3545

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **2 CZERWCA** zdarzyło się:

1897 – Guglielmo Marconi uzyskał patent na radio;

1979 – rozpoczęła się pierwsza pielgrzymka papieża Jana Pawła II do Polski.

Wojna w oczach dzieci

Maluchy, które jeszcze 1 czerwca 1939 r. celebrowały swoje święto – Dzień Dziecka, już trzy miesiące później – 1 września bardzo często **stawały się dorosłymi**. Tego dnia zawalił się dla nich świat, który do tej pory znały. Niejednokrotnie nie był to świat idealny, wszak międzywojenna Polska nie była rajem dla wszystkich dzieciaków, ale w tym przedwojennym świecie dwie rzeczy były pewne: śmierć nie była powszechna i wszechobecna, a życia nie można było stracić w niemal każdej chwili.

Sebastian Reńca

Gdybym miał wskazać tylko zdjęcia obrazujące tragedię najmłodszych Polaków, którym przyszło żyć w czasie wojny i okupacji, byłyby to trzy fotografie.

Pierwsza przedstawia dwie siostry, jedna nie żyje, druga płacze nad jej zwłokami. Autorem zdjęcia był amerykański dziennikarz Julien Bryan. 13 września 1939 r. niemiecki lotnik oddał strzały w kierunku kobiet zbierających ziemniaki. Wśród zabitych była 14-letnia dziewczynka Andzia, jej siostrzyczka, która wtedy rozpaczała, przeżyła wojnę. Kazimiera Mika zmarła 28 sierpnia 2020 r.

Druga fotografia została zrobiona przez Niemca i trafiła do Raportu Stroopa. Warszawskie getto walczyło. Warszawskie getto ginęło i umierało. Niemcy zdziwili się, gdy zaczęto do nich strzelać. Po pierwszym szoku przyszło otrzeźwienie i precyzyjne pacyfikowanie, niszczenie budynku po budynku. Mordowanie. Niemcy na tym zdjęciu patrzą dumnie i z butą w obiektyw. Cywile są przerażeni. Wśród nich stoi na pierwszym planie chłopiec w czapce z daszkiem z rękoma uniesionymi do góry. Patrzy z trwogą na kogoś, kto stoi obok szwabskiego fotografa. Boi się, bo wie, że za chwilę zginie.

Trzecie i ostatnie w kolejności chronologicznej zdjęcie zostało wykonane w KL Auschwitz-Birkenau przez jakiegoś Rosjanina po zajęciu obozu przez Armię Czerwoną. Maluchy w pasiakach pokazują żołnierzom sowieckim rączki z wytatuowanymi numerami. Ci, którzy ich tam wsadzili, zasługiwali tylko na jedną karę. Karę śmierci.

Polskie Orlęta

W 1979 r. „Życie Warszawy" zwróciło się z apelem do czytelników, aby ci, którzy cztery dekady wcześniej byli dziećmi poniżej 12. roku życia, nadsyłali swoje wspomnienia. Redakcja pisała m.in., że każde dziecko ma swoje prawa. Dzieci mają przede wszystkim prawo do beztroskiego i szczęśliwego dzieciństwa, a wojna odebrała im prawa: do szczęścia, do wesołej zabawy, bezpieczeństwa – nawet we własnym domu. „Udziałem dzieci stał się głód, poniewierka, obozy koncentracyjne, śmierć, ale także walka" – pisała redakcja.

DZIECI MAJĄ PRAWO DO BEZTROSKIEGO I SZCZĘŚLIWEGO DZIECIŃSTWA, A WOJNA ODEBRAŁA IM PRAWA: DO SZCZĘŚCIA, DO WESOŁEJ ZABAWY, BEZPIECZEŃSTWA – NAWET WE WŁASNYM DOMU.

Symbolem tej walki jest Pomnik Małego Powstańca. W 1944 r. polskie dzieci nie po raz pierwszy w naszej historii walczyły o wolność ojczyzny. Były Orlęta we Lwowie, były Orlęta w Grodnie, Warszawa też miała swoje Orlęta. Wspominał o nich wszystkich Waldemar Łysiak w jednym z rozdziałów swojego „Malarstwa biało-czerwonego": „Krucjaty polskich dzieci były rebelianckie, narodowowyzwoleńcze. Od Buntu Barskiego konfederackiego (1768-1772), po Bunt Poznański uliczny (1956) – bili się o wolność polscy malcy i płacili daninę krwi. Zyskali sławę wiekopomną, jak ci z Powstania Warszawskiego (1944), którzy mają wzruszający monumencik na Starym Mieście, a jesz-

eprasa.pl 028b2d3545

Żydowska ludność cywilna schwytana podczas tłumienia powstania w warszawskim getcie. Oryginalny niemiecki podpis: „Siłą wyciągnięci z bunkrów" (fotografia z Raportu Stroopa)

cze bardziej Orlęta Lwowskie (1918), których łyczakowska nekropolia jest dziś gnębiona przez wrednych Ukraińców".

„Widziałem swoich rówieśników w hełmach na głowie i z granatami w ręce. Barykady i łuny pożarów, trupy kobiet, dzieci, rozstrzeliwanie powstańców" – pisał Janusz Kantorek w swoim wspomnieniu przesłanym do redakcji „Życia Warszawy".

Gdy 1 sierpnia 1944 r. wybuchło w stolicy powstanie, Wacław Sankowski był sierotą. Mając 13 lat, nie rozumiał „zła, które przekształciło dzieciństwo w tak bolesną dorosłość". Przetrwał i wyszedł z miasta razem z innymi cywilami, co tak opisywał w gazecie: „Milczącym pochodem szliśmy tak przez spaloną Warszawę, ulicami osnutymi dymem, usłanymi gruzami, zaoranymi barykadami. Ta «droga przez mękę» zdawała się nie mieć końca. [...] Dziecięca wyobraźnia nie mogła ogarnąć skutków barbarzyńskiego szaleństwa, a tym bardziej zrozumieć".

Najmłodsi pomagali dorosłym powstańcom, byli łącznikami, przenosili meldunki i pocztę, pomagali w punktach opatrunkowych, obserwowali ruchy wroga, zdarzało się, że byli przewodnikami w kanałach.

Jeden z nich – sanitariusz Andrzej Szwajkert „Jędruś", urodził się 10 października 1933 r., zginął 29 września 1944 r. Został ciężko ranny odłamkiem pocisku czołgowego wystrzelonego z okolic Cytadeli w kierunku Placu Inwalidów i ulicy Mickiewicza. Zmarł kilka godzin później. Został pochowany w kwaterze batalionu „Zośka" na Powązkach Wojskowych.

Na zesłaniu

We wspomnieniach drukowanych na łamach „Życia Warszawy" zabrakło tych, które były związane z sowiecką okupacją wschodnich terenów Rzeczypospolitej. Nie mogły być wydrukowane, ponieważ w PRL nie można było powiedzieć i napisać złego słowa na temat Związku Sowieckiego. Cenzura pilnie tego strzegła. Zresztą w środku dekady Edwarda Gierka na stanowisku I sekretarza Polskiej Zjednoczonej

eprasa.pl 028b2d3545

Partii Robotniczej – w roku 1976 do konstytucji wprowadzono zapis o przewodniej roli PZPR i przyjaźni z RRL z ZSRS.

Jozef Rosenberg miał 15 lat, gdy w lutym 1943 r. dotarł do Palestyny, a pochodził z Krzeszowa nad Sanem. Gdy on i rodzina znaleźli się w Kowlu i tym samym pod sowiecką okupacją, jego ojciec i tysiące innych Polaków narodowości żydowskiej chciało przejść granicę, by znaleźć się w swoich domach leżących na ziemiach pod niemiecką okupacją! Oczywiście NKWD się na to nie zgodziło i zesłało wszystkich na Syberię. W obozie dzieci dostawały 40 dekagramów chleba, a dorośli, dlatego że pracowali, zasługiwali na kilogram chleba. „Chlebem tym można by zapychać dziury, taki był gliniasty" – wspominał Jozef i dodawał, że jednego dnia zmarło 30 dzieci: „Myśleliśmy, że ani jeden z nas nie zostanie przy życiu". Któregoś dnia dzieci i ich rodzice zorganizowali demonstrację, którą rozgoniło NKWD. „Rodzice uciekli, bo bali się więzienia. Dzieci nie bały się i zostały". Aresztowano małego Rosenberga i jego kolegów. Enkawudziści pytali, dlaczego demonstrują. „Powiedzieliśmy, że chcemy wrócić do domów, bo tu dzieci umierają. Skazano nas na karcer. Nie dawano jedzenia, było tam zimno i ciemno".

Malcy dorosłymi

W wielu wspomnieniach dzieci żyjących zarówno pod niemiecką, jak i sowiecką okupacją przewija się określenie, że wojna spowodowała, iż najmniejsi musieli stawać się dorosłymi. Dzieci niejednokrotnie były tymi, które organizowały jedzenie dla siebie i dla najbliższych. Dzieciom też spowszechniała śmierć. Jedni widzieli ją na ulicach Warszawy i innych miast Generalnej Guberni, inni podczas transportów na Syberię, kiedy ciała zmarłych wyrzucano tuż przy torach lub już na samym miejscu, gdy ludzie, bez względu na wiek, umierali z powodu chorób, ciężkiej pracy i głodu.

NIEMCY ODEBRALI DZIECIOM PRAWO DO DZIECIŃSTWA, A JEDNOCZEŚNIE OBARCZYLI JE OBOWIĄZKAMI DOROSŁYCH.

Głośnym echem odbił się po wojnie tekst „Dzieci wojenne", który ukazał się w „Kuźnicy". Jego autorką była Irena Maria Chmieleńska, psycholog, nauczycielka i wychowawczyni, która popularyzowała zagadnienia psychologii wychowawczej, a poza tym była Sprawiedliwą wśród Narodów Świata.

Chmieleńska właśnie pisała, że Niemcy odebrali dzieciom prawo do dzieciństwa, a jednocześnie obarczyli je obowiązkami dorosłych. Najmłodsi musieli zarabiać oraz troszczyć się o utrzymanie własne, a niejednokrotnie swoich najbliższych – „jaką bądź drogą".

Psycholog pisała swój tekst na podstawie obserwacji warszawskich oraz podwarszawskich ulic i podwórek, na których widywała dzieciaki, ale jej wnioski można jak najbardziej przełożyć na całą Polskę. Ponadto Chmieleńska stwierdzała, że egoizm wśród dzieci „rozwinął się do rozmiarów, jakich istnienia nie podejrzewaliśmy. Współczucie przestało istnieć". Wymieniała dwa główne źródła demoralizacji, były to: „sprawa żydowska oraz handel, szmugiel, szaber, kradzież, kant – procedery, których ściśle rozgraniczyć nie sposób".

NAJMŁODSI POMAGALI DOROSŁYM POWSTAŃCOM, BYLI ŁĄCZNIKAMI, PRZENOSILI MELDUNKI I POCZTĘ, POMAGALI W PUNKTACH OPATRUNKOWYCH, OBSERWOWALI RUCHY WROGA.

Widziała np. chłopców dziesięcio-, trzynastoletnich, a i sześcioletnich szkrabów, którzy całe noce spędzali przy murach getta. Na tych swoich „dyżurach" obserwowali, czy ktoś z tamtej strony nie przechodzi na „aryjską", a jeżeli przeszedł, kogoś takiego szantażowali, a przechodzili zarówno dorośli, jak i dzieciaki, które miały łatwiej przeciskać się przez dziury w ogrodzeniu, dlatego niemieccy strażnicy nazywali je „szczurami" i bezkarnie do nich strzelali.

Marek Hłasko, wówczas jeszcze dziecko, mieszkał blisko getta w czasie okupacji i widział swoich rówieśników narażających życie, by po tzw. aryjskiej stronie organizować jedzenie.

– Na ulicy Chłodnej stał płot z drutem kolczastym, nawet nie mur, bo w końcowym okresie getta Niemcy nie mieli czasu na budowanie muru. Po drugiej stronie mieszkali tacy sami ludzie jak my, widzieliśmy ich przez okno. Co pewien czas pod tym płotem usiłował prześlizgnąć się cztero- lub pięcioletni dzieciak. Wtedy strzelał do niego

eprasa.pl 028b2d3545

żandarm stojący w pobliskiej bramie, jak na polowaniu. Do ostatecznej likwidacji getta w czterdziestym trzecim roku to były codzienne widoki. Nasze rodziny miały to nieszczęście, że mieszkaliśmy w pobliżu getta. Strzelaniny, łapanki, egzekucje uliczne, myśmy się w tym wychowali – opowiadał mi kilka lat temu nieżyjący już Andrzej Czyżewski, kuzyn Marka Hłaski.

Któregoś okupacyjnego dnia Irena Chmieleńska rozmawiała z dziesięcioletnim chłopcem, który pochodził z tak zwanej dobrej rodziny. Usłyszała od niego, że Niemcy słusznie zrobili, tępiąc Żydów. Zapytała go, dlaczego tak uważa, a on odpowiedział:

– Teraz my mamy więcej jedzenia, przedtem mamusia i ja mieliśmy gorzej.

– Czy słusznym byłoby zabicie ciebie, twojej mamy, by któreś żydowskie dziecko i jego mama mieli więcej jedzenia? – zapytała psycholog.

Chłopiec najpierw namyślił się, a następnie spokojnie odpowiedział:

– Nie, to nie byłoby słuszne, ponieważ, proszę pani, każdy jest egoistą, więc musi myśleć przede wszystkim o sobie, a dla mnie tak jest lepiej.

Psycholog konstatowała: „Dzieci polskie wiele miały okazji do przeżywania emocji: Niemiec strzelał do «Jude», a on wołał: «Jude! », spotkawszy go. Bezmyślnie powtarzał, naśladował i bawił się. Że bito i zabijano nie jego i jego najbliższych, że mógł patrzeć spokojnie i z pełnym poczuciem osobistego bezpieczeństwa – wbijało takiego dzieciaka w dumę, czuł się kimś lepszym, wyższym, nietykalnym wobec tych, których w jego oczach i ku jego uciesze poniewierano. Bawił się niemiecki żandarm i bawiło się polskie dziecko. Niemcy oswoili nasze dzieci i nas, dorosłych, zresztą także z pojęciem człowieka i podczłowieka. Żyd to było coś gatunkowo odmiennego. Znane było zapytanie kilkuletniego chłopca, spopularyzowane przez tajną prasę: «Mamusiu, czy to człowieka zabili, czy Żyda? »”.

Tekst Ireny Chmieleńskiej może szokować. Jakże to tak? Przecież dzieci nie są skłonne do przemocy. Otóż są skłonne...

HISTORYCY SZACUJĄ, ŻE WOJNA POCHŁONĘŁA 2 MILIONY NAJMŁODSZYCH POLAKÓW.

Przeszłość i współczesność

W krótkim tekście nie sposób wymienić wszystkich krzywd, których doznały polskie dzieci w latach 1939–1945. I to też nie jest tak, że wraz z majem 1945 r. skończyła się gehenna wielu z nich i rozpoczęła się sielanka. Trauma dotykała wiele z nich, tak samo sieroctwo czy utrata rodzinnej tożsamości na rzecz nowej.

Historycy szacują, że wojna pochłonęła 2 miliony najmłodszych Polaków. Trzeba również wspomnieć o 200 tysięcy dzieci, które Niemcy wywieźli do III Rzeszy w celu germanizacji. Tylko 33 tysiące z nich powróciło do Polski. Jest taka wyjątkowa scena w serialu „Polskie drogi”, w której Kuraś, grany przez Kazimierza Kaczora, wykupuje transport dzieci z Zamojszczyzny, a ludzie przygarniają dzieciaki wiezione w bydlęcych wagonach przez Niemców. Scena, która powoduje, że niewidziana łapa chwyta człowieka za gardło, by pociekły łzy... ludzie zaczynają zabierać dzieci z wagonów, ktoś pyta Kurasia, kim jest, na co on odpowiada: ojcem. Szukał dziewczynki, którą niemieccy okupanci skazali na śmierć tylko dlatego, że jej rodzice byli Polakami mojżeszowego wyznania.

200 TYSIĘCY DZIECI NIEMCY WYWIEŹLI DO III RZESZY W CELU GERMANIZACJI. TYLKO 33 TYSIĄCE Z NICH POWRÓCIŁO DO POLSKI.

Czy dzisiaj polskie dzieci są szczęśliwe? W przeważającej większości – tak. Niestety, są też dzieci, które są narażone na niedożywienie. Według danych Polskiego Komitetu Europejskiej Sieci Przeciwdziałania Ubóstwu w 2022 roku około 396 tysięcy dzieci w Polsce żyło w skrajnym ubóstwie. To oznacza, że blisko 5 proc. dzieci może być narażonych na zagrażające ich zdrowiu lub życiu formy niedożywienia. Czy liczba biednych dzieci maleje z roku na rok? Otóż nie. W ubiegłym roku z raportu „Poverty Watch 2024” można się było dowiedzieć, że w naszym kraju jest 522 tys. dzieci, które żyją w skrajnym ubóstwie, a to oznacza brak dostępu do podstawowych warunków zapewniających przetrwanie.

Są również dzieci cierpiące na choroby, które wymagają specjalistycznego leczenia, a tego nie podejmują się polskie szpitale, ponadto są rodziny, których nie stać nawet na leczenie w kraju. Stąd sieć zalewają ogłoszenia o kolejnych zbiórkach, które mają pomóc w leczeniu dzieciaków, których rodzice, dziadkowie i pradziadkowie płacili lub jeszcze płacą składki zdrowotne.

Zarówno to, że w Polsce XXI wieku są dzieci niedożywione, jak i dzieci chore, których państwo nie jest w stanie leczyć, jest hańbą kolejnych rządów.

eprasa.pl 028b2d3545

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

Prezydent Nawrocki ZŁOŻY DRUGI WNIOSEK o referendum ws. unijnej polityki klimatycznej

Fot. M. Żegliński

Karol Nawrocki na spotkaniu z mieszkańcami powiatu sokołowskiego zapowiedział, że złoży drugi wniosek do Senatu o przeprowadzenie ogólnopolskiego referendum w sprawie unijnej polityki klimatycznej.

Pierwszy wniosek prezydenta został odrzucony głosami 62 senatorów z Koalicji Obywatelskiej, Lewicy, Trzeciej Drogi i Nowa Polska – Centrum. Głosowanie odbyło się pół godziny przed północą.

– To jest głos narodu polskiego, a naród polski w referendum ma prawo powiedzieć: nie chcemy europejskiej polityki klimatycznej, nie chcemy Zielonego Ładu. To, co zrobił Senat, to nie jest uderzenie w Karola Nawrockiego, ja jestem tylko przekaźnikiem pewnej społecznej emocji. Senatorowie powiedzieli Wam: nie chcemy słuchać Waszego głosu, my umiemy Wami zarządzać, my Wam powiemy, co jest dobre – mówił prezydent Nawrocki.

Tym razem pytanie referendalne ma być inaczej sformułowane, ponieważ za pierwszym razem pojawiły się zarzuty, że sugerowało ono odpowiedź.

– Sprawa jest zbyt poważna, żeby złe pytanie decydowało o tym, czy będzie referendum o Zielonym Ładzie, czy go nie będzie. I właśnie dlatego, Panie Marszałku, Pani Marszałek Senatu, złożę drugi wniosek o referendum, w którym zmienimy pytanie, jeśli ono jest nieodpowiednie, i naród się wypowie – oświadczył prezydent Polski.

JEST POROZUMIENIE W MINOVA EKOCHEM

Zakończył się strajk prowadzony w trzech zakładach Minova Ekochem: w Truskolasach, Polkowicach i Siemianowicach Śląskich. Upragnione porozumienie udało się podpisać w czwartym dniu strajku, 21 maja br. Na negocjacje przyleciał do Polski wiceprezes Minova Global oraz szef europejskich struktur koncernu Michael Napoletano.

Po siedmiu godzinach negocjacji związkowcy wywalczyli podwyżki wynagrodzeń w dwóch transzach. Pierwsza w wysokości 6 procent będzie wypłacona już teraz z wyrównaniem od stycznia. Pracownicy otrzymają też bonus roczny równy ich miesięcznej stawce zasadniczej.

Kolejną – 4,5-procentową – podwyżkę załoga otrzyma w styczniu 2027 roku. W porozumieniu zapisano ponadto, że podwyżka musi przekraczać inflację o 1 proc., dlatego jeśli sytuacja gospodarcza ulegnie zmianie, a inflacja wyniesie na przykład 5 proc., to pracownicy otrzymają pensje wyższe o 6 proc.

– To były bardzo trudne rozmowy. Prezes zaproponował 4 proc. podwyżki i przez wiele godzin pozostawał

eprasa.pl 028b2d3545

Fot. M. Żegliński

„Ta manifestacja była absolutnie pokojowa. Z rozmów z policjantami wynikało, że podczas niej policja nałożyła dwa mandaty karne za używanie pirotechniki i dała cztery upomnienia. Uważam, że to jest rewelacyjny wynik. Wszyscy spisali się na medal".

Bartłomiej Mickiewicz, wiceszef KK NSZZ „S", Telewizja Republika, 24 maja br.

nieugięty. Ostatecznie udało się podpisać porozumienie, ale nie jesteśmy do końca zadowoleni. Pracownicy liczą na większe podwyżki już teraz – skomentował Adam Lazar, przewodniczący „S" w siemianowickiej fabryce, cytowany przez Śląsko-Dąbrowską Solidarność.

Trzy zakłady Minova Ekochem zatrudniają łącznie 277 pracowników.

Minova Arnall w Truskolasach zajmuje się dostarczaniem kotew do kopalni. W Minova Ekochem w Siemianowicach Śląskich produkuje się natomiast kleje, piany i środki do zabezpieczenia górotworów. Z kolei Minova-Ksante w Polkowicach dostarcza chemikalia potrzebne przy wydobywaniu miedzi.

NOWI CZŁONKOWIE ZR

Ponad 80 delegatów z Regionu Zagłębie Miedziowe NSZZ „Solidarność" obradowało w Legnicy na Walnym Zebraniu Delegatów. Związkowcy dokonali wyboru dwóch nowych członków Zarządu Regionu, którymi zostali Mariusz Kwietniowski i Robert Blicharski. Wybrali też delegata na Krajowy Zjazd Delegatów, którym został Dominik Pasis. Wszyscy kandydaci otrzymali komplet głosów.

NAMYSŁOWSKA FIRMA TNIE ZATRUDNIENIE

Po wygaszeniu produkcji w Browarze Namysłów kolejni pracownicy z tego regionu będą musieli poszukać nowej pracy. Diehl Controls postanowił ograniczyć zatrudnienie w swoim zakładzie w Namysłowie.

W firmie trwa Program Dobrowolnych Odejść, który może objąć około 150–200 pracowników. Przewodniczący zakładowej „S" Grzegorz Adamczyk przekazał, że jak na razie z zakładu odeszło 50–60 pracowników. – Redukcja zatrudnienia prowadzona jest w miesięcznych transzach. Pracownicy sami ustalają z pracodawcą, w którym momencie chcą odejść – zaznaczył związkowiec.

Przewodniczący Adamczyk stwierdził, że firmę z Namysłowa dobija nieuczciwa konkurencja, głównie z Chin oraz innych krajów, które „zalewają europejski rynek gotowymi produktami w segmencie artykułów gospodarstwa domowego".

– Produkcja tam jest tańsza nie tylko z powodu tańszej siły roboczej, ale przede wszystkim z powodu braku opłat środowiskowych – zaznaczył Grzegorz Adamczyk.

M.K.

Kalendarium

Solidarności

2–10.06.1979 – odbywa się I pielgrzymka Jana Pawła II do Polski, w czasie której papież wygłasza pamiętne słowa: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze Ziemi. Tej ziemi!";

8.06.1982 – pierwszą audycję nadaje Radio „Solidarność" Gdańsk;

8–14.06.1987 – odbywa się III Pielgrzymka Jana Pawła II do Polski (Warszawa, Majdanek, Lublin, Tarnów, Kraków, Szczecin, Gdynia, Gdańsk, Jasna Góra, Łódź). Dochodzi do wielkiej manifestacji „S" podczas Mszy Świętej na gdańskiej Zaspie;

2.06.1989 – ukazuje się pierwszy numer „Tygodnika Solidarność" po reaktywacji. Funkcję redaktora ponownie obejmuje Tadeusz Mazowiecki;

8.06.1996 – powstaje Akcja Wyborcza Solidarność będąca koalicją partii prawicowych;

5–17.06.1999 – odbywa się VI Pielgrzymka Jana Pawła II do Polski, w czasie której papież odwiedza: Gdańsk, Sopot, Pelplin, Elbląg, Licheń, Bydgoszcz, Toruń, Ełk, okolice jeziora Wigry, Siedlce, Drohiczyn, Warszawę, Sandomierz, Zamość, Łowicz, Sosnowiec, Kraków, Gliwice, Stary Sącz i Wadowice;

6.06.2010 – w Warszawie odprawiona zostaje Msza beatyfikacyjna ks. Jerzego Popiełuszki.

eprasa.pl 028b2d3545

Mam jeszcze dużo do zrobienia

– To, co się wydarzyło, jest po prostu skandaliczne. [...] Otrzymaliśmy sygnały, że na przełomie kwietnia i maja pracodawca włamał się do biura i przewiózł w nieznane miejsce część naszej dokumentacji związkowej. Z relacji świadków wiemy, że dokumenty przewożono odkrytym samochodem w skrzyniach, z których wypadały kartki. W środku naszego lokalu związkowego znajdowały się również komputery i sprzęt elektroniczny. Mamy pełne prawo podejrzewać, że urządzenia mogły zostać sprawdzone lub nawet zhakowane – mówi **Grzegorz Babij**, przewodniczący NSZZ „Solidarność" w PG „Silesia", w rozmowie z **Barbarą Michałowską**.

– Mija miesiąc, odkąd otrzymał Pan wypowiedzenie z pracy w Przedsiębiorstwie Górniczym „Silesia". Jest Pan jednak nadal przewodniczącym Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność". Nabrał Pan dystansu do tego, co się w ostatnich miesiącach działo wokół Pana i pracowników kopalni?

– Trochę z przekąsem mógłbym powiedzieć, że czuję się jak emeryt, ale to oczywiście nieprawda. Tak naprawdę cały czas wykonuję pracę związkową. Mam kontakt z pracownikami, rozmawiamy, działamy. To nie jest tak, że człowiek nagle przestaje funkcjonować.

Równolegle staramy się doprowadzić do tego, żeby sądy i instytucje państwowe przyspieszyły działania w sprawie naszej organizacji związkowej. Bumech do dziś jej nie uznaje. Państwowa Inspekcja Pracy intensywnie pracuje nad tym tematem. Złożyliśmy również do prokuratury zawiadomienie dotyczące utrudniania działalności związkowej. To jednak proces, którego sami nie jesteśmy w stanie przyspieszyć.

Po 38 latach pracy dopiero teraz zaczyna do mnie docierać, co się wydarzyło. Nie ukrywam, że nie jest mi z tym łatwo, ale się nie załamuję.

> Trudno po prostu zostawić coś, czemu poświęciło się ponad 20 lat działalności związkowej. **Nadal** chciałbym działać dla ludzi i dla tej kopalni.

Trzeba patrzeć do przodu, bo życie toczy się dalej.

– Co obecnie dzieje się z organizacją związkową i lokalem Solidarności, do którego – jak alarmowaliście – straciliście dostęp?

– To, co się wydarzyło, jest po prostu skandaliczne. Byliście z nami, kiedy zawiadamialiśmy policję o tym, że nie możemy wejść do naszego biura, które wcześniej zostało nam udostępnione przez pracodawcę. Od tamtego momentu sprawą zajmuje się policja, były przesłuchania i zeznania.

Tymczasem otrzymaliśmy sygnały, że na przełomie kwietnia i maja pracodawca włamał się do biura i przewiózł w nieznane miejsce część naszej dokumentacji. Z relacji świadków wiemy, że dokumenty przewożono odkrytym samochodem, w skrzyniach, z których wypadały kartki. W środku naszego lokalu związkowego znajdowały się również komputery i sprzęt elektroniczny. Mamy pełne prawo podejrzewać, że urządzenia mogły zostać sprawdzone lub nawet zhakowane.

Dostaliśmy też zdjęcia wykonane przez pracowników przy kopalnianym śmietniku. Widać na nich flagi Solidarności wyrzucone do kontenera. To dla mnie niewyobrażalny skandal.

Widać, że obecny właściciel i główny akcjonariusz Bumechu, pan Sutkowski, nie liczy się ani z ludźmi, ani z organizacją związkową. A przypomnę, że nasza organizacja liczy dziś około 300 członków Związku przy 500 pracownikach kopalni. Uważam, że kiedyś ktoś wyciągnie wobec niego konsekwencje prawne, bo tak nie można traktować związku zawodowego.

– Uważa Pan, że odcięcie Wam dostępu do dokumentów mogło być celowym działaniem?

– Tak to wygląda. Gdyby chodziło wyłącznie o zabezpieczenie dokumentacji, wystarczyłoby do mnie zadzwonić albo skontaktować się z którymkolwiek z członków Komisji Zakładowej. Mogliśmy wszystko normalnie przewieźć.

Naszym zdaniem chodziło jednak o dostęp do materiałów, przejrzenie

eprasa.pl 028b2d3545

Fot. M. Żegliński

dokumentów i sprzętu komputerowego. Mieliśmy też sygnały od pracowników, że wieczorami w naszym biurze było zapalone światło. Ktoś mógł tam przeglądać dokumentację.

Co istotne – kiedy od 18 marca Bumech przejął dzierżawę kopalni, nie miałem żadnego problemu z wejściem na teren zakładu. W dniach 30–31 marca przewoziliśmy tam dokumenty i sprzęt. Kilka dni później już nie zostałem tam wpuszczony. Wygląda to tak, jakby czekano, aż wszystko znajdzie się w jednym miejscu.

– Wielu pracowników PG „Silesia" zostało w ostatnich miesiącach zwolnionych z pracy. Czy członkowie Komisji Zakładowej również?

– Nie wszyscy. Część osób została zwolniona, część przeniesiona. Typowano osoby najbardziej widoczne podczas protestu.

Nie ukrywam też, że swoją rolę odegrały inne związki zawodowe. Z naszych informacji wynika, że przedstawiciele ZZG i „Kadry" przekazywali pracodawcy materiały, które miały postawić nas w złym świetle.

Musieliśmy przeprowadzić wybory uzupełniające do Komisji Zakładowej i Komisji Rewizyjnej, bo część osób została zwolniona, a część sama odeszła, szukając pracy gdzieś indziej.

Dziś nastroje wśród pracowników są bardzo złe. Wielu ludzi deklaruje, że gdyby mogli odejść z kopalni, zostawiliby Sutkowskiego samego. Problem w tym, że pracownikom obiecywano wyrównanie zaległych świadczeń po przejęciu kopalni przez Bumech, ale te obietnice nie zostały spełnione.

Pracownicy dostają kolejne wiadomości z zapewnieniami i przeprosinami, ale pieniędzy nadal nie ma. Trudno funkcjonować w sytuacji, kiedy ktoś ciągle obiecuje wypłatę zaległości i jednocześnie oczekuje pełnego zaangażowania.

– Ilu pracowników po grudniowym proteście i w procesie przejęcia dzierżawy przez Bumech straciło pracę?

– Szacujemy, że około 120–130 osób. Oficjalnych danych oczywiście nie mamy. Wcześniej kopalnia zatrudniała około 700 pracowników, dziś zostało ich mniej więcej 500.

Jednocześnie udało nam się pomóc wielu osobom. Solidarność stanęła na wysokości zadania i znaleźliśmy pracę dla praktycznie wszystkich pracowników zaangażowanych w protest, którzy zostali zwolnieni.

– Także za Panem stanęła Solidarność, inicjując akcję „Murem za Babijem". Odczuwa Pan to wsparcie?

– Zdecydowanie tak. To wsparcie naprawdę widać, słychać i czuć każdego dnia. I właśnie na tym polega Solidarność.

Chciałbym bardzo podziękować Markowi Boguszowi, Andrzejowi Kołodziejskiemu, Łukaszowi Lewandowskiemu i wszystkim osobom z Regionu Podbeskidzie, które mnie wspierają. Praktycznie nie ma dnia bez telefonu z pytaniem, czy czegoś nie potrzeba, czy wszystko jest w porządku. Za to ogromnie dziękuję.

– Wyobraża Pan sobie jeszcze powrót do pracy w kopalni?

– Czekamy obecnie na decyzję sądu w sprawie mojego zabezpieczenia. Jeśli takie zabezpieczenie zostanie wydane, będę musiał wrócić do pracy.

Zresztą mam tam jeszcze dużo do zrobienia. Trudno po prostu zostawić coś, czemu poświęciło się ponad 20 lat działalności związkowej. Nadal chciałbym działać dla ludzi i dla tej kopalni. Wiele spraw wciąż pozostaje niedokończonych. S

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ WASIUKIEWICZ

eprasa.pl 028b2d3545

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA

Nasi autorzy

Andrzej Gajcy („Zimny..., s. 55),
jeden z najbardziej znanych polskich dziennikarzy śledczych. W przeszłości związany z „Rzeczpospolitą" oraz Onetem. Od 2025 roku pisze dla nas. Jego najnowsza książka (napisana razem z Wojciechem Muchą) to „Kampania. Jak wygrać wybory i nie dać się złapać". W TV Republika prowadzi „Pierwszą rozmowę dnia".

Zdzisław Krasnodębski (Dlaczego..., s. 50),
jeden z najważniejszych współczesnych polskich socjologów, wieloletni profesor Uniwersytetu w Bremie. W latach 2014–2024 poseł do Parlamentu Europejskiego. W latach 2018–2019 jego wiceprzewodniczący. Jego najnowsza książka to wydana w 2023 roku „Kurtyna podniesiona" (Ośrodek Myśli Politycznej).

Cezary Krysztopa (I'll be..., s. 61),
zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność" i spiritus movens portalu Tysol.pl. Z wykształcenia architekt (jego projekty można podziwiać także w Warszawie). Z zamiłowania rysownik. Z powołania polemiczny publicysta. W naszym tygodniku od 2014 roku. Od lat namawiany na wydanie swoich legendarnych „Opowieści podlaskich".

Barbara Michałowska (Mam jeszcze..., s. 72),
dziennikarka „Tygodnika Solidarność". Specjalizuje się w sprawach związkowych. Z nami od 2009 roku.

Mariusz Staniszewski (Radzio..., s. 30),
autor był w przeszłości członkiem zarządu Polskiego Radia, zastępcą redaktora naczelnego „Wprost", publicystą tygodnika „Do Rzeczy" i szefem działu krajowego w „Rzeczpospolitej". Jego najnowsza książka to „Wyższe Sfery" (Zysk i Sk-a, 2025).

Stanisław Żaryn (Armia..., s. 34),
pierwsze publicystyczne kroki stawiał w „Tygodniku Solidarność". Później był zastępcą ministra koordynatora służb specjalnych i pełnomocnikiem rządu Mateusza Morawieckiego do spraw bezpieczeństwa przestrzeni informacyjnej RP, doradcą prezydenta RP Andrzeja Dudy. Jest prezesem Fundacji Instytut Bezpieczeństwa Narodowego.

PRENUMERATA NA 2026 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 028b2d3545

SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

My mamy wspólne wartości, a Wy?

asa.pl 028b2d3545

230 TYS. UCZESTNIKÓW MANIFESTACJI

#RAZEMDLAPOLSKIIPOLAKÓW

DZIĘKUJEMY!

eprasa.pl 028b2d3545